BIBLIOTEKA INSTYTUTU MICKIEWICZA W GDAŃSKU

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Biblioteka Uniwersytecka w Gdańsku

CIV 903

Rok V | Warszawa, 27 luty 1949 r. | Nr 8 (170)

TREŚĆ NUMERU: Czasopisma filozoficzne; D. Horodyński — Z notatnika podróży; Z. Kubiak — Poezja czyli radość; Z. Jakimiak — Brak przemyślenia; Co piszą inni; Z. Lichniak — Powojenna twórczość Wojciecha Bąka; Leszcz — Dźwięk w filmie; Rok Chopinowski; J. Artemski — Zadanie Roku Chopinowskiego; Czytelnik uważa, że...; M. J. Kononowicz — Dziadak i babka.

Nik Rostworowski

„PLACÓWKA"

Tego dnia włóczyłbym się jeszcze dosyć długo po zadeszczonym Krakowie, gdyby u zbiegu Skarbowej i Krupniczej nie zwrócił mojej uwagi okazały gmach z napisem: **„Związek Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej pod wezwaniem Św. Stanisława Kostki".** Z zainteresowaniem zacząłem się przyglądać budynkowi. Wtedy właśnie zobaczyłem czterech chłopców, którzy wymachując teczkami biegli w kierunku obserwowanego przeze mnie domu. Zaciekawiony postanowiłem pójść za nimi. Parter i pierwsze piętro zdawały się potwierdzać moje początkowe domysły. PUR, Izba Skarbowa, OKZZ — notowałem w pamięci, drapiąc się pośpiesznie za chłopcami, których, mimo to, na drugim piętrze straciłem nagle z oczu. Nie dając za wygraną zastukałem do drzwi, opatrzonych surowym napisem: Klauzura. Po chwili rozmawiałem z dyrektorem bursy dla chłopców, jezuitą, O. Romualdem Moskałą. Ta rozmowa przesądziła o wizycie, która z projektowanej piętnastominutowej przekształciła się w parudniową. Grzebałem w ocalałych archiwach, naprzykrzałem się wychowawcom i wychowankom, jeździłem wreszcie po ośrodkach wiejskich instytucji, o której nie wystarczy pisać.

KRAKÓW ANNO DOMINI 1897

W latach dziewięćdziesiątych stosunki społeczne w c. k. Galicji niewiele odbiegały od sytuacji wytworzonej w dwu pozostałych zaborach. Swoboda kulturalna w ramach politycznej autonomii nie była w stanie przesłonić koszmarnych dysproporcji między warstwami posiadającymi a wyzyskiwanym robotnikiem, utrzymującym się z pracy najemnej — „Przy Tobie, Panie stoimy i stać chcemy" — zapewniali Franz-Josepha konserwatywni Stańczycy a stanowisko ich podzielała większość tak, czy inaczej z konserwą związanej inteligencji. Mętne idee chłopomańskie równolegle do potęgującego się wzrostu świadomości klasowej wsi, konkretyzowały się na razie w zakładaniu kas Stefczyka, Reifeisena i in. których celem była ekonomiczna samoobrona chłopa. Dodać tu jeszcze należy próby politycznej organizacji ludu podejmowane przez ks. Stojałowskiego i jemu podobnych zapaleńców.

Proletariat miejski pozostawał najbardziej upośledzony. Duże zróżnicowanie ekonomiczno - społeczne tej warstwy utrudniało bowiem jej polityczną koncentrację. Austriacy wiedzieli czego chcą, sprzeciwiając się uprzemysłowieniu Galicji. Proletariat rekrutujący się prawie wyłącznie z najemnych pracowników rzemiosła i handlu nie przedstawiał przecież żadnej siły z którą by trzeba się było politycznie rachować.

Z tego przeważnie elementu budował Ignacy Daszyński zręby Socjalnej Demokracji i trudno nam dziś nie podziwiać zdolności organizacyjnych człowieka, który musiał bez przerwy przezwyciężać wszystkie opory wynikające z rozproszkowania kastowego: Elitę rzemieślniczą stanowili dekarze. Potem szli kolejno: ślusarze, elektrotechnicy, krawcy czyli „kanciarze" (od ostrego kantu na spodniach), stolarze itp. Szewcy znajdowali się na szarym końcu.

Nierównie większy przedział istniał jednak między majstrem a terminatorem. Pracował taki uczeń z reguły 10 — 14 godzin na dobę sypiając w dusznym warsztacie i będąc zarazem nianią lub służącą u pani majstrowej. Praktyka trwała cztery lata do których trzeba doliczyć 2 lata posługi, przedłużanej przez niekontrolowanego majstra najzupełniej dowolnie.

„POWIDLARZE"

Byłoby grubą przesadą twierdzić, że w r. 1897 O. Błażej Szydłowski z Towarzystwa Jezusowego, tworzył „Opiekę im. Św. Stanisława Kostki" w Krakowie — w celach politycznych. Prostoduszny zakonnik nie potrafił się po prostu przyglądać z założonymi rękoma wielkiej nędzy moralnej wyzyskiwanych terminatorów. Postanowił ich skupiać na religijnych pogadankach, a będąc z natury praktycznym i rozsądnym człowiekiem przed zakołataniem do dusz aktywizował wygłodniałe żołądki. Każdy „katechumen" dostawał przed umoralniającą nauką kubek herbaty i pajdę chleba z powidłami. Jak się potem okazało mieli słuszność majstrowie i starsi czeladnicy wietrząc w tych pozornie niewinnych zebraniach jakieś zagrożenie własnych uprawnień. W grę wchodził jednak, jak by nie było, autorytet sukienki duchownej, więc swoje rosnące zdenerwowanie ograniczyli na razie do wymyślenia pogardliwego przezwiska dla pupilków O. Błażeja. „Powidlarze" — syczały otyłe majstrowe pozbawione naptem bezpłatnych nianiek. „Powidlarze" darli się ile tchu w piersiach terminatorzy rzemiosł elitarnych, bojkotujący „jałmużnicze" zgromadzenia.

PROFIL REFORMATORA

O. Mieczysław Kuznowicz T. J., syn cukiernika z Częstochowy, nie był rewolucjonistą w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. „Czerwony abbe", socjalizujący ks. Jan Badeni także jezuita, dystansował O. Mieczysława na pewno w radykaliźmie społecznym i na pewno go przewyższał bystrością umysłu.

Ale ówczesny prowincjał O. O. Jezuitów ks. Włodzimierz Ledóchowski powodował się chyba bardzo trafnym wyczuciem kiedy już w dniu prymicji 14 kwietnia 1906 r. zlecił młodziutkiemu księdzu opiekę nad „powidlarzami".

Pierwszym krokiem O. Kuznowicza jest przekształcenie „Opieki im. Św. Stanisława Kostki" w „Związek Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej". W miarę rozrostu organizacji tworzą się sekcje religijne, kulturalne, rozrywkowe i sportowe. Ramy organizacyjne stwarzają solidną podstawę prawną do reprezentacji zawodowych interesów terminatorów i czeladników wobec nieuczciwych pracodawców. Praktycznie rzecz oceniając akcja ta jest niczym innym, jak po prostu walką z wyzyskiem kapitalistycznym. Czy świadomą?

— Starannie wertowałem pisma O. Kuznowicza pragnąc choćby pobieżnie odtworzyć Jego poglądy społeczne. Oceniane z pozycyj socjalistycznych muszą budzić uśmiech. Trafność niektórych diagnoz była u O. Mieczysława raczej konsekwencją niezwykłej intuicji społecznej niż intelektualnego rozpoznania. Jak wszyscy solidaryści, którzy szlachetny cel nazbyt pochopnie utożsamiają z żenującą rzeczywistością stawał bezradny i jakby zdziwiony wobec takiego np. zjawiska jak kastowość, dająca się niemal bez reszty wytłumaczyć uwarunkowaniem ekonomicznym: — „...uderzała mnie zawsze" skarży się w jednym ze swych artykułów „ta wielka i nieprzezwyciężona kastowość, dzieląca tych młodych ludzi. Ile było pogadanek moich na ten temat, poczynań i pracy, a jednak ona w tym kierunku tak mało była skuteczna..."

Wkrótce jednak mieszczańskiego socjologa luzuje ewangeliczny wizjoner i w artykule O. Kuznowicza czytamy takie oto zdanie: „Ale zmieniają się bardzo czasy i ludzie i zwyczaje. Być może, że wpływają na to warunki materialne, jasnym jest oczywiście fakt, że różnice klasowe i stanowe zacierają się coraz bardziej, idziemy ku prawdzie". — To nieoczekiwane wyznanie zaskakuje. „Prawda" społeczeństwa bezklasowego dziwi w ustach człowieka, który życie poświęcił idei przysporzenia Polsce potężnej warstwy mieszczańskiej. W tym tkwi cały O. Kuznowicz: słaby doktryner i postępowy społecznik. Duch prawdziwie chrześcijańskiej miłości i wyjątkowy talent organizacyjny wyrównywały u Niego z nadddatkiem pozorną naiwność społeczne go myślenia. Ktoś doszukiwał się analogii między Konarskim a Kuznowiczem. Sądzę, że niesłusznie. Konarski stawiał na przodującą warstwę szlachecką w momencie sprawowania przez nią faktycznej odpowiedzialności za ustrój. Ks. Kuznowicza zwiodła wyjątkowa sytuacja Polski, w której istotny niedorozwój burżuazji w żadnym wypadku nie predystynował jej do objęcia roli kierowniczej w naszym społeczeństwie. Tym niemniej diagnoza polskich wad ustrojowych była stawiana przez Ks. Kuznowicza prawidłowo i prawidłowymi były wnioski praktyczne jakie z niej wyprowadzał. Mam tu zwłaszcza na myśli ochronę terminatorów przed wyzyskiem mistrzów oraz walkę o zapewnienie młodzieży wiejskiej dostępu do miasta, gdzie pragną roztoczyć nad nią opiekę moralną i materialną.

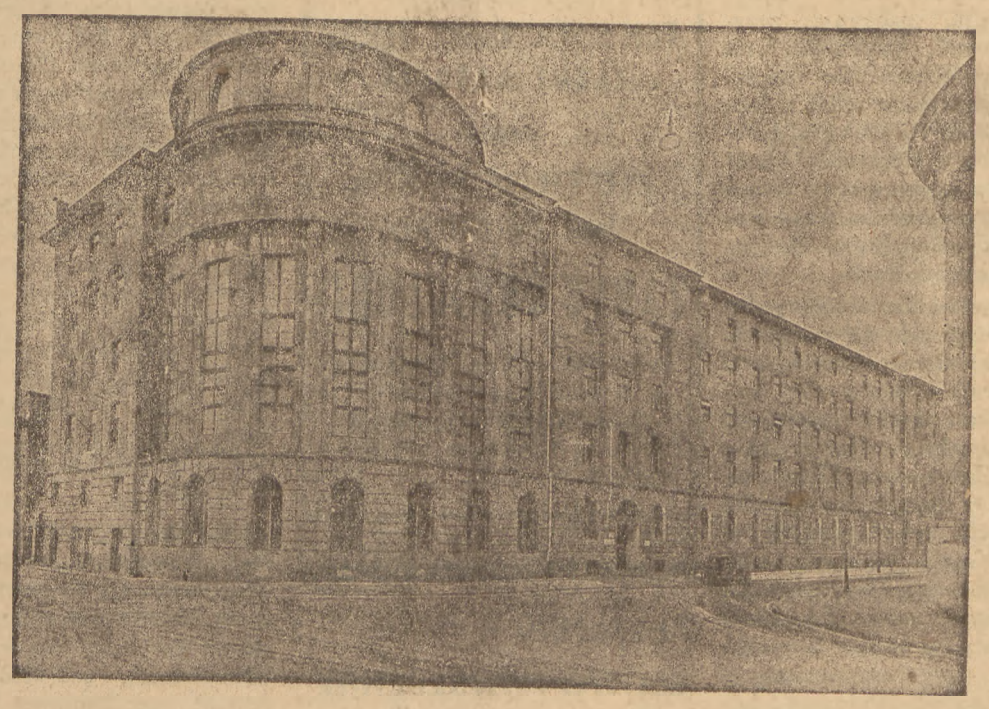

HOMO, LOCUS, PECUNIA

To była dewiza O. Mieczysława. Ks. Kuznowicz rozpoczynał w r. 1906 pracę dysponując dziesięcioma koronami i zespołem złożonym z 17 terminatorów. W r. 1924 wznosi przy ul. Skarbowej monumentalny gmach, który służąc potrzebom członków Związku mieści jednocześnie bursę, gdzie utrzymuje się stale ok. 300 chłopców. Historia budowy gmachu na Skarbowej warta jest pióra beletrysty. Nie będę tu jej opisywał, jak również nie czuję się powołany opowiedzieć jakim cudem 10 koron rozrosło się do milionowego majątku. Na krótko przed rozpoczę-

DM 59/05

ciem II wojny światowej Związek posiadał 2 folwarki, park sportowy „Juvenia" w Krakowie i kolonię letnią w Jastarni.

Od A do Z wszystko, dosłownie wszystko było wynikiem niestrudzonego dreptania ubogiego zakonnika. Ks. Kuznowicz z każdym się przyjaźnił. Rozbrajał skąpych przemysłowców, kokietował bezdzietne ziemianki, czarował artystów. Był przy tym dosyć naiwny finansowo. Wierny zasadzie „niech nie wie prawica co czyni lewica" stwarzał pozory rozrzutności, lecz w ostatecznym rachunku wszystko się zgadzało, ewentualnie amortyzowało w uśmiechu rozradowanych podopiecznych.

ASPEKT TRAGICZNY

Oglądaliśmy przed dwoma laty piękny film p. t. „Miasto chłopców". W Krakowie przy ul. Skarbowej 2 takie miasto istniało naprawdę. Wojna 39 r. zniweczyła dzieło Ks. Kuznowicza. On sam umarł wiosną 45 r. „z tęsknoty" — jak mi powiedział jeden z Jego współpracowników.

Nowe zadania stwarzają nowych ludzi. Obecny kierownik Bursy. O. Romuald Moskała tylko w pewnym ściśle sprecyzowanym sensie może uchodzić za kontynuatora idei Ks. Kuznowicza. Chodzi tu rzecz jasna o przejęcie wspaniałych tradycji wychowawczych. Cała działalność organizacyjna, galwanizowanie Związku kiedy ochronę interesów pracowniczych reprezentuje CKZZ nie ma racji egzystencji.

Ks. Moskała jest ekonomistą i socjologiem. Są tacy, którzy powiadają, że bardzo radykalnym socjologiem. Kiedy w r. 1923 opublikował w „Przeglądzie Powszechnym" artykuł o względności prawa własności posypały się do redakcji listy oburzonych do żywego posiadaczy. Kiedy w r. 1945 obejmował kierownictwo Bursy musiał czasem nawet brutalnie łamać bolesne opory ludzi unieczonych wizją Polski mieszczańskiej, tak przekonywująco roztaczaną ongiś przez Ks. Kuznowicza.

Już po powrocie do Warszawy miałem sposobność rozmawiania z z jednym z „zawiedzionych". Wymieniliśmy nazwiska i wówczas przypomniałem sobie, że wertując wydawnictwa Związku już się z nim spotkałem. Przed wojną był czołowym działaczem sekcji antyalkoholowej. Trzeba tu nadmienić, że sekcje abstynenckie stanowiły jeden z najpoważniejszych instrumentów oddziaływania wychowawczego w organizacji Ks. Kuznowicza.

„Nie ma Ojca Mieczysława więc wszystko diabli biorą" — zwierzał mi się półgłosem przeraźliwie smutny i całkiem zrezygnowany. A gdy otwierał usta czułem słodkawy zapach alkoholu.

Wtedy opowiedziałem mu o „Placówce".

KRAKUSI OJCA ROMUALDA

W latach okupacji bezdomna i zdemoralizowana młodzież nie rekrutowała się jak za czasów O. Błażeja prawie wyłącznie z terminatorów rzemieślniczych. Jej skład społeczny wyznaczały bowiem prawa terroru, znacznie bardziej surowe niż rygor ekonomiczny. O. Romuald Moskała i p. Pola, z którą rozmawiałem w Radlnej pod Tarnowem, chodzili wówczas po mieście łowiąc zdziczałe dzieci. Najbardziej skuteczne były łowy nocne. Dzieci spały na dworcowych ławkach, w przedsionkach kamienic, na trawnikach Plant. Często gryzły i kopały więc gdy nie pomagała błażejowo - powidlana argumentacja trzeba się było uciekać do argumentu silnej dłoni. Chłopcy gromadzeni przez O. Moskałę zwolna się cywilizowali i sprawiali nowym opiekunom o wiele mniej kłopotu niż np. matki - prostytutki zagrożone w swych uprawnieniach podobnie jak zazdrośni majstrowie przed czterdziestu laty. Po jakimś czasie zespół dzieci ulicy otrzymał nazwę: „Placówka Młodych Krakusów". „Na jedną z pierwszych zbiórek Placówki zapowiedziała swoją wizytę p. Łubieńska delegowana z darami przez RGO" — opowiada p. Pola.

„Władek ,który był nowy, na pół godziny przed wizytą hrabiny wydudlił pół litra wódki i rozłożył się na środku izby wymiotując". (P. Pola jest drobna i niedużą toteż nie dziwię się, że nie potrafiła czternastoletniego dryblasa usunąć w porę).

„Więc żeśmy tylko zasłaniali sobą małego pijaczynę, truchlejąc, że p. Łubieńska dostrzeże. Po jej wyjściu Władek krzyczy: „Dam 5 złotych temu kto za mną posprząta". — Chłopcy nie chcieli więc musiałam sama.

— Słuchałbym bez końca tych opowieści: o braciach Kaniak, o Adasiu, o Antku, który nie może żyć bez ideału więc najpierw wielbił panią Halę, potem Świętego Stanisława Kostkę, a teraz szesnastoletnią licealistkę.

„Dla niego to ani przyrodzone ani nadprzyrodzone" miesza się do naszej rozmowy Ojciec Romuald.— "On by tylko sterczał na błoniach, kopał piłkę albo się gapił jak inni kopią".

DWIE TRADYCJE

Obejmując w r. 1945 kierownictwo „Związku Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej" O. Moskała wnosił doń w posagu swoich Krakusów. Do października 46 r. dzieci ulicy okupowały dom na Skarbowej, całkiem zresztą formalnie bo „Placówka" została włączona jako autonomiczna jednostka w ramy Związku. Przed dwoma laty część Krakusów odkomenderowano na wieś do folwarku związkowego w Radlnej pod Tarnowem. Tam właśnie poznałem płowowłosego Adasia i Józka Kaniaka, dwu głównych bohaterów opowieści p. Poli. Pozostali Krakusi dochodzą z miasta na Skarbową, gdzie oddano im do dyspozycji trzy świetlice. Dostają tam obiad i podwieczorek, a czas ich pobytu jest sprawiedliwie rozdzielony między naukę, zajęcia praktyczne i gry sportowe. Uczestniczyłem w ich mistrzostwach pingpongowych. Są schludnie ubrani, domyci, weseli. Żadne baranki, raczej wilczki mozolnie obłaskawiane.

Miłość bezinteresowna, ona tylko sprawiła, że sieroty NN, synowie prostytutek, i chłopcy wydarci Niemcom zza Odry — łagodnieją, nabierają przyzwoitych manier, życzliwości do otoczenia i ochoty do nauki. „Placówka" obejmuje tylko chłopców od lat 8 do 14. Staż krakusowski się urywa z momentem ukończenia szkoły podstawowej. Potem zasilają oni przeważnie skład stałych mieszkańców Bursy tj. uczniów szkół zawodowych.

O. Mieczysław Kuznowicz wybudował wielki gmach, żeby znalazła w nim schronienie upośledzona młodzież rzemieślnicza. O. Romuald Moskała zwęził i poszerzył jednocześnie zakres celów wytkniętych przez Założyciela. Zwęził, bo zrezygnował z ambicji stowarzyszenia młodzieży rękodzielniczej w odrębny Związek, poszerzył, bo otworzył bramy instytucji także dla dzieci. Związek został faktycznie przekształcony w rodzaj instytutu opiekuńczo - wychowawczego, w którym młodzież bezdomna lub przychodząca ze wsi do miasta znajduje schronienie i realne szanse nauki.

VARIA

Utrzymanie Krakusów w całości pokrywa instytucja. Sponad 200 mieszkańców Bursy 10 proc. nie płaci nic, a 50 proc. uiszcza opłaty ulgowe. Kuratorium i WOS przy Zarządzie Miejskim mają prawo kierowania własnych kandydatów do Bursy i wiejskich ośrodków instytucji, po opłaceniu zaledwie połowy czynszu. Resztę pokrywa instytucja.

Mieszkańcy domu przy Skarbowej posiadają swój samorząd, najbardziej nowoczesne pomoce naukowe, bogato wyposażoną bibliotekę, infirmerię, stałego lekarza zakładowego. Wszystko to jest kontynuacją dzieła O. Mieczysława. Sprawa samowychowania stanowiła zawsze Jego specjalną troskę, taką prawie jak pielęgnowanie jednej z bardziej zasadniczych cnót demokratycznych — tolerancji. W Związku znajdowało się z reguły miejsce dla chłopców odmiennych wyznań, a O. Kuznowicz szczególnie dbał o to by między nimi, a katolikami nie czyniono najmniejszej różnicy.

Deweyowska zasada wychowania przez pracę znajduje swoisty wyraz w systemie Ks. Moskały. Szkolne zakłady ślusarskie ZEMPER nie zostały na szczęście wyrabowane przez Niemców i pracują obecnie całą parą. W Łukowicy (folwark instytucji) założono szkołę koszykarską dla dziewcząt i chłopców okolicznych wsi. Przy szkole jest internat dla dziewcząt, a niedawno zostały tam wznowione kursy kroju i szycia.

W Ostrowie Szlacheckim k. Tarnowa zwiedzałem Szkołę Zawodową Rzemiosł Wiejskich, w której czynne są na razie warsztaty stolarskie, a O. Moskała pokazywał mi z dumą sprowadzone ostatnio narzędzia do projektowanych warsztatów kowalskich. Wychowankowie ostrowskiej bursy demonstrowali mi na wyścigi elektryczne heble i precyzyjne obrabiarki. Pozbawiony doszczętnie technicznej smykałki nie rozumiałem absolutnie nic. Entuzjzmowałem się „na słowo honoru" i potakiwałem wszechwiedząco.

Podobnie choć z dużo mniejszym entuzjazmem, zachowywał się obecnie ex-działacz sekcji abstynentów. Potakiwał bo chciał mi zrobić przyjemność. Czułem, że nie wierzy, nie pojmuje tego wszystkiego jak ja nie pojmowałem tajemnicy funkcjonowania rozpędzonych heblarek.

Nik Rostworowski

Każdy katolicki działacz społeczny
KAŻDY KATOLIK
musi
przeczytać książkę
Ks. F. Mirka
ZARYS SOCJOLOGII
Wyd. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 1948 r.
Do nabycia w księgarniach katolickich.

Czytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE

Czasopisma filozoficzne w Polsce

Ilość, jakość i częstotliwość czasopism naukowych jest zewnętrznym wykładnikiem życia danej nauki. Pod tym względem możemy zanotować objawy wcale pomyślne, a w niektórych dziedzinach stan nawet ilościowo wyższy niż przed wojną. Tak się przedstawia sprawa np. z filozofią, której organom poświęcimy nieco uwagi pragnąc zainteresować i poinformować o tych sprawach naszą inteligencję.

Najstarszym czasopismem filozoficznym w Polsce jest **Przegląd Filozoficzny**, (Kraków, Lenartowicza 18). Założony w Warszawie przed półwiekiem, obchodził właśnie złote gody pokaźnym tomem wydanym pod redakcją prof. Władysława Tatarkiewicza, który od 25 lat pismem kierując, utrzymuje je zawsze na wysokim poziomie naukowym i sprawozdawczym. Sześciu autorów, z redaktorem na czele omawia losy filozofii polskiej w 50-leciu w głównych ośrodkach: stołecznym, lwowskim, krakowskim, wileńskim, poznańskim i lubelskim. To ważny, bogaty i ciekawy fragment dziejów polskiej kultury: walki o własną niezależną myśl. Brak w tym retrospektywnym spojrzeniu syntezy, ale może jeszcze na nią obecnie zawcześnie. Rozprawy inne zebrane w tomie, reprezentują też wszystkie środowiska i różne dziedziny uprawianej u nas filozofii: dotyczące etyki, teorii poznania, logiki teorii wartości itd.

Dział przeglądów przynosi niezmiernie interesujące omówienia współczesnej filozofii: szwedzkiej, francuskiej (z egzystencjonalizmem) oraz najobszerniej w 7 artykułach filozofii USA. Wreszcie dwa studia krytyczne: o książkach Russella (Historia filozofii) i Ducassa (Filozofia nauki), zamykają 300-stronicowy, starannie drukowany tom. Najnowszy świeżo wydany zeszyt Przeglądu Filozoficznego, poświęcił prof. Tatarkiewicz polskim referatom zgłoszonym na międzynarodowy kongres filozoficzny w Amsterdamie. Bogata jego zawartość świadczy dowodnie o wysokim poziomie naszej filozofii. Przegląd Filozoficzny jest najstarszym organem Polskiego Tow. Filozoficznego, mającego oddziały we wszystkich miastach uniwersyteckich. Redakcja zapowiada poświęcenie najbliższego zeszytu zagadnieniom estetyki. Obyśmy długo nań nie czekali.

Drugim pismem wznowionym po wojnie z tej dziedziny jest **Kwartalnik Filozoficzny**, wydawany przez Pol. Akademię Umiejętności (Kraków, Sławkowska 17), pod redakcją prof. Romana Ingardena. Podwójny ostatni zeszyt tomu 17 obejmuje siedem rozpraw, z których pewne mogą być z korzyścią czytane nawet bez specjalnego przygotowania filozoficznego, np. wspaniałe, 50-stronicowe studium prof. A Krokiewicza o Heraklicie, ukazujące nam tego mędrca w nowym świetle, lub syntetyczny artykuł prof. Ingardena: Z dziejów teorii dzieła literackiego, a nawet takie rozprawy jak Znamierowskiego: Rodzaje ocen, lub Dąmbskiej o rodzajach sceptyzmu./ Każdy zeszyt Kwartalnika Filozoficznego to solidny wkład w „królową nauk" — filozofię.

Wznowiony niedawno w Toruniu **Ruch Filozoficzny** (Toruń, Uniwersytet), rozpoczął na nowym miejscu żywot również podwójnym zeszytem tomu., jako drugi organ Pol. Tow. Filozoficznego, pod red. prof. T. Czeżowskiego. Zadaniem pisma, nad wyraz dla rozwoju nauki ważnym, jest szybka i wszechstronna informacja o tym co się na świecie w zakresie filozofii dzieje.

Zeszyt przynosi recenzje, autoreferaty, obfitą bibliografię polską i obcą oraz kronikę. Jego potrzeba jest nieodzowną w rozwoju naszej filozofii.

Czwarte z kolei wznowione czasopismo nosi tytuł **Studia philosophica** (Poznań, Księg. Ziem Zach., ul. Świerczewskiego 1), wydawane jako rocznik w całości w jęz. angielskim i francuskim, przeznaczone jest głównie dla zagranicy. Duży tom pod red. K. Ajdukiewicza i R. Ingardena, poświęca na wstępie sto stron pamięci zmarłych i pomordowanych w czasie wojny polskich filozofów, oraz dwa wspomnienia o działalności naukowej zmarłego przed wojną K. Twardowskiego wielkiego organizatora i budziciela życia filozoficznego w Polsce. Jedenaście rozpraw następnych, to prace filozofów polskich pisane w najcięższych warunkach okupacji. Są wśród nich m. in. dwa rozdziały wydanej po polsku głośnej książki Tatarkiewicza „O szczęściu, która wywołała liczne dyskusje i najżywsze zainteresowanie w sferach naszej inteligencji. Studia Philosophica prezentują świata zdobycze myśli polskiej i są łącznikiem tej myśli z Zachodem.

Najmłodszym, piątym z kolei pismem są świeżo powstałe **Roczniki Filozoficzne**, wydawane przez Tow. Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (Lublin, al. Racławickie 14) pod red. ks. prof. Józefa Pastuszki. Bogaty tom 1. Roczników przynosi na 360 stronach 11 rozpraw, które rozpoczyna bardzo ważna praca redaktora pisma: o trwałych wartościach filozofii chrześcijańskiej na tle nowoczesnych prądów filozoficznych. Inne prace dotyczą teorii poznania, metafizyki i logiki i są wspaniałym świadectwem rozwoju i wysokiego poziomu myśli katolickiej w Polsce. Oprócz rozpraw mamy sylwetki dwóch zmarłych uczonych: ks. Radziszewskiego i ks. Michalskiego, sprawozdania z działalności nowego ośrodka studiów filozoficznych w KUL, uwagi o organizacji studium psychologii w uniw. polskich, obfity dział recenzji i notatek, a wreszcie bibliografię filozoficzną starannie ułożoną przez Zofię Plewicką za lata 1945—1948. Względy celowej organizacji pracy nakazały by jednak porozumienie w sprawach bibliografii z Ruchem Filozoficznym, ażeby niepotrzebnie nie dublować ciężkiej a tak koniecznej roboty. Roczniki Filozoficzne to nowa ważna zdobycz KUL'u.

Wymienione czasopisma nie wyczerpują wszystkich organów związanych z myślą filozoficzną. Należałoby dodać do nich jeszcze kilka b. ważnych tytułów czasopism: **Kwartalnik Psychologiczny**, wznowiony niedawno 13-tym tomem w Poznaniu. **Przegląd Socjologiczny** wydawany w Łodzi, warszawski **Ruch Pedagogiczny** oraz kwartalnik „Psychologia i Higiena Psychiczna Pracy". A również pisma mające stałe działy filozofii jak **zasłużone Ateneum Kapłańskie** wychodzące od 40 lat we Włocławku, **oraz Polonia Sacra**, wznowiona w Krakowie, a także miesięcznik łódzki „Myśl Współczesna". Ten obraz nasilenia czasopism filozoficznych w Polsce byłby wcale pocieszający, gdyby organy te ukazywały się regularnie i częściej niż dotychczas. Opóźnienia sięgając czasem wielu miesięcy wytwarzają przykre luki. A luki w ruchu umysłowym źle sprzyjają normalnemu **rozwojowi kultury**. **(pg)**

Dominik Horodyński

Z notatnika podróży (5)

Będąc Polakiem, można po ostatniej wojnie objechać cały świat dokoła i zebrać masę wiadomości o życiu wszystkich narodów, nie znając żadnego języka poza polskim. Nie można było tego zrobić przed dziesięciu laty. Na skutek drugiej wojny światowej, spotkało Polaków kilka fenomenów, nie znanych w tej skali w historii Europy. Całkowite zniszczenie stolicy, cyfra 8 milionów mieszkańców różnych narodowości przesiedlonych przez PUR i nieprawdopodobnie wysoka ilościowo i procentowo cyfra emigracji, uważającej się za emigrację polityczną, oto niewątpliwie fenomeny bez precedensu. Współcześni Polacy tylko bardzo mgliście mogą wyobrazić sobie zasięg wpływów, jakie doświadczenia ostatniej wojny będą musiały wywrzeć na los naszego narodu. Na pewno najtrudniej jest pojąć znaczenie tych fenomenów specyficznym ofiarom wojny, jakimi są polscy emigranci.

Ominęły ich przeżycia okupacyjne, ominęła polityczna, społeczna, gospodarcza i kulturalna rewolucja własnego narodu, ominął ich cały potężny nurt współczesnej historii z wszystkimi jej niebezpiecznymi zakrętami. Wylecieli zaraz na pierwszym i stworzyli sobie własny światek, z którego pod zupełnie fałszywym i nierealnym kątem obserwują bieg zdarzeń, nie mając nań już od dawna żadnego wpływu. Więc obserwują coraz leniwiej, coraz mniej interesuje ich prawdziwa, historyczna rzeczywistość, a nie zużyty zapas energii, wyżywają we własnych, drobnych, gettowych sprawach. Różdżką czarodziejską własnego uporu zatrzymali czas, gdzieś na roku 1939, i, obmurowali się zaporami z nic nie znaczących frazesów i tak sobie już dziesiąty rok żyją. Wojna nauczyła nas umiejętności przechodzenia spokojnie obok rzeczy i spraw bolesnych i tragicznych, jeśli wiemy, że nic na nie poradzić nie zdołamy. Można by i o emigrantach powiedzieć: „Bóg z nimi" — i w ogóle o nich nie wspominać. Na pewno istnieje wiele spraw ważniejszych. Są przyczyny, które zmuszają mnie dzisiaj do paru uwag w tej sprawie. Jestem w Anglii, więc ciągle emigrantów spotykam. Mam nawet pewno tutaj więcej przedwojennych znajomych niż w Warszawie, korzystam nieraz z ich uprzejmości i pomocy, poznaję ich świat pojęć — a raczej cofam się w świat pojęć, który kiedyś był moim i o którym też kiedyś myślałem, że będzie trwale obowiązywał — poznaję warunki ich życia. Spotykam ludzi, którzy dużo by mogli w Polsce zrobić i dawno powinni byli do kraju wrócić i takich, którzy są osobiście odpowiedzialni za szereg klęsk, które spotkały nasz naród i nadal z uporem biegają wokół, coraz bardziej upiornych projektów. Spotykam ludzi budzących sympatię, nieraz współczucie i nieraz, niestety takich, na których widok, ręka świerzbi.

Przeciętny, życzliwy emigrant, jeśli wyraża ochotę porozmawiania ze mną, to po to, aby przestrzec mnie przed powrotem do Polski. Jest to szalenie nudne i, gdybym raz pozwolił moim rozmówcom rozwinąć ich myśl i cały zasób informacji o tym, co mnie w Polsce czeka, zmarnowałbym cały mój pobyt w Londynie. Musiałbym tygodniami od wszystkich wysłuchiwać tego samego w kółko. Dzięki angielskiemu zamiłowaniu do zabawnych dykteryjek, udało mi się uniknąć tego niebezpieczeństwa. W jakimś starym Punch'u wyczytałem pouczającą historię John'a, który wprowadził konia do łazienki. A było to tak. John, poprosił swego przyjaciela, aby pomógł mu wprowadzić konia do bramy. Gdy tego dokonali, mówi: „jeszcze pomóż mi go wciągnąć na schody", — potem wepchali konia do mieszkania i wreszcie zamknęli w łazience. Zziajani zeszli na dół i przyjaciel pyta Johna: „no dobrze, ale pocoś ty się tak męczył z tym koniem!" — „Widzisz mój drogi — odpowiada John — moja żona zawsze wszystko lepiej wie ode mnie, ona jest u krawcowej i za chwilę wróci, razem wejdziemy do mieszkania, pójdzie umyć ręce w łazience, wyjdzie stamtąd i powie do mnie tonem wyższości: „John, koń jest w łazience" — wtedy podniosę palec do góry i powiem: „ja wiem!" — Gdy tylko jakiś życzliwy emigrant zaczynał informować mnie o tym co musi mnie spotkać w Polsce, grzecznie przerywałem, opowiadałem mu anegdotkę o Johnie i koniu, podnosiłem palec do góry i mówiłem: „ja wiem — a teraz mówmy o czym innym!" — Zaoszczędziłem w ten sposób masę czasu i poznałem dużo spraw emigracyjnych. Bardzo ten system z koniem polecam tym, którzy się do Anglii wybierają, można go stosować równie dobrze i w stosunku do cudzoziemców.

Najsmutniejszą cechą emigracji polskiej jest jej ilość. W samej Anglii jest 140 tys. ludzi, w Niemczech 250 tys. Są to cyfry tym bardziej przeraźliwe, że większość — szczególnie w Niemczech — to element już całkowicie wykolejony. Jeśli przyjąć, że w tzw. świecie zachodnim przebywą obecnie ponad pół miliona uchodźców polskich, to trzeba będzie stwierdzić, że za normalną polityczną emigrację, można uznać 1% całej ilości uchodźctwa. Emigracje polityczne są zjawiskiem w historii pospolitym i w takiej np. Grecji starożytnej, nie było niemal generacji, która by tego zjawiska nie przeżywała. Emigrowali na zmianę, raz jedni, raz drudzy, nie mając o to do siebie specjalnego żalu. Tak jak partnerzy w grze w karty nie uzależniają w stosunku do siebie uczuć nienawiści ani pogardy od szczęścia w grze.

Ale uwagi te dotyczą tylko emigracji ściśle politycznej. Zatrzymywanie wszelkimi sposobami szarej masy żołnierskiej i uchodźczej poza granicami kraju, jest jedną z historycznych zbrodni przewódców emigracyjnych. „Dziennik Polski" i „Dziennik Żołnierza", dobrze zresztą redagowane pismo, zwane pieszczotliwie przez swych czytelników „szmatławcem", do dzisiejszego dnia jeszcze czyni wszystko, aby biednych, znękanych ludzi, odstraszyć od powrotu do Polski. Ci sami ludzie, którzy uważają się za zawodowych obrońców wolności i prawdy, utrzymują się na powierzchni przez szerzenie zwyczajnych kłamstw. Żadnego kierownictwa politycznego emigracji już nie ma, pozostało tylko kilkudziesięciu „wodzów", kilkudziesięciu kłócących się grup, z których niektóre liczą 3 — 4 adherentów. Potępieńcze swary w pełni. Po tygodniu już wiem co, gdzie, kto, komu ukradł, jakie popełnił przestępstwo. Przyjaciel mój, emigrant, którego to opętane życie, tak jak ich wszystkich i bawi i obrzydza, pociesza się w British Museum lekturą dokumentów z okresu wielkiej emigracji. Znalazł tam broszurę jakiegoś księdza, przeciwko ówczesnemu kierownictwu emigracji. Coś, jak wydana przed paroma miesiącami broszura płk. Pstrokońskiego, przeciwko Andersowi. Na marginesie jakiś współczesny czytelnik napisła nerwowo ołówkiem: „a gdzie ksiądz podział swoje nieślubne dzieci?" — po czym następuje cała długa lista tych rzekomych dzieci. Tak, nic nowego, los wszystkich emigracji jest wspólny. Nie znaczy to bynajmniej abym utożsamiał charakter dzisiejszej emigracji z „Wielką". Ale czczona przez nas wielka emigracja była też dla obserwatorów cudzoziemskich, zjawiskiem dziwacznym. Jej wielkość nie polegała na działalności w dziedzinie polityki, ostatecznie wszystkie poczynania polityczne emigracji polskiej XIX wieku były dla losu kraju albo obojętne, albo zgubne. Emigracja otrzymała historyczne miano wielkiej, dzięki potężnej twórczości kulturalnej i dzięki temu, że reprezentowała te ideały wolnościowe i społeczne, które tworzyły przyszły nurt historii. Już dzisiąty rok naśladują swoich poprzedników sprzed 100 lat, dzisiejsi emigranci, żyjąc — mimo wszystko — w warunkach materialnych o wiele lepszych i chociaż żaden tam poeta, jak Norwid nie umiera z głodu, przez dziesięć lat nie ukazała się ani jedna dobra książka, ani jeden naprawdę wielki wiersz, nie został namalowany ani jeden dobry obraz, nie powstała żadna symfonia. To coś znaczy i to decyduje.

W XIX wieku emigranci utrzymywali się z pieniędzy przysyłanych z kraju, albo żyli z łaski możnych z przypadku. Emigracyjny rząd Sikorskiego, a potem Mikołajczyka, dysponował nieograniczonymi funduszami, które wydawane były z nieprawdopodobną lekkomyślnością. Jeden z pracowników londyńskiej rady ministrów, wyrachował mi, że za roczną sumę, którą jeden z premierów płacił za dzierżawę, używanych przez siebie, reprezentacyjnych apartamentów (meble są w Anglii bardzo drogie), można by dać roczne stypendium dla trzech tysięcy studentów. Nie uznawany już przez Anglię rząd Arciszewskiego, wydał w 1945 r. na budżet min. informacji 1.500.000 funtów, utrzymując między innymi 70 pracowników na Bliskim Wschodzie. Nikt absolutnie nie wie, co ci urzędnicy fikcyjnego rządu tam robili. Olbrzymie fundusze porozłaziły się po kasach partyjnych i prywatnych. Dziś już mało co z nich zostało. Ale śmierć głodowa nikomu nie grozi. Rząd brytyjski wydał od zakończenia wojny około 100 mil. funtów na utrzymanie Korpusu Rozmieszczenia. Król nadal wypłaca stypendia przeszło trzem tysiącom studentów. Każdy intelektualista może się o coś materialnie zaczepić i zachować czas na twórczość artystyczną czy intelektualną. Jakiż jest wynik?

Starzy artyści i pisarze nic nie tworzą. Dobry malarz marnuje czas i zdrowie na niepoważną politykę w Paryżu. Podobnie żyją w Stanach: Wierzyński i Lechoń, pisząc z rzadka coraz gorsze wiersze. A młodzi? — W ogóle ich nie ma. Kreowano swego czasu na wieszcza emigracji Jana Rostworowskiego, autora mdłych ziemiańskich wierszyków, nie mających z poezją nic wspólnego.

Młody prozaik Tadeusz Nowakowski, autor żałący się na histerię i świat rzeczywisty opowiadań, jest jedną nadzieją młodej prozy emigracyjnej.

Utalentowani krytycy, jak Grudziński czy Bielatowicz, wykoszlawiają się coraz bardziej, mieszając od lat kryteria artystyczne z politycznymi. Typowym przykładem nieuniknionych konsekwencji zacietrzewienia politycznego jest los tygodnika Wiadomości, prowadzonego przez tak wybitnego redaktora, jakim był przed wojną Grydzewski. Pismo to zamiast spełniać rolę kulturalną stało się organem politycznym do tego stopnia, że jako utwory literackie umieszcza histeryczne tyrady Zygmunta Nowakowskiego i Tymona Terleckiego.

Gdy spytałem jednego wybitnego intelektualistę, dlaczego zamiast pracować naukowo, cały dzień spędza w charakterze lepszego gońca w jakimś obskurnym pisemku endeckim, odpowiedział mi szczerze, że tam zarabia więcej niż mógłby zarobić, poza tym czuje się włączony w nurt społeczny, praca naukowa wymaga samotności, na którą nie pozwalają mu nerwy. Mój Boże! — nurt społeczny.

Odmalowany tutaj pobieżnie obraz kulturalnego życia emigracji, choć potraktowany niewątpliwie z goryczą, nie jest niestety zfałszowany. Emigracja kulturalna nie stworzyła nic. Jedyną bodaj książką, przetłumaczoną na obce języki jest praca debiutanta literackiego Stanisława Mackiewicza o Dostojewskim. Pisał kiedyś o tej książce Zawodziński w Odrodzeniu. Dorobek polityczny emigracji jest nam wszystkim zbyt dobrze i zbyt boleśnie znany, by warto go tu było przypominać.

Jak trochę mistycznie twierdzi znany pisarz polityczny emigracyjny, był jakiś tragiczny klucz, który w Polsce międzywojennej wysuwał na czołowe stanowiska polityczne najmniej ku temu odpowiednich ludzi. Klucz ten obowiązywał również rządy emigracyjne i ich przedstawicielstwo w kraju.

Nie opuszcza mnie przerażenie, gdy z bliska oglądam garnitur ludzki, który z Londynu i w Warszawie, prowadził nasz kraj przez najcięższy okres historii. Wynik dla nich nie mógł być inny — Polskę jednak ta zabawa w ministrów zbyt drogo kosztowała. „Ci panowie mieli szczęście, że nie musieli przedstawić się narodowi" — mówi tenże, znany pisarz polityczny, emigracji. I w Londynie można spotkać ludzi, obdarzonych zmysłem rzeczywistości.

Dzięki temu, że w Paryżu wychodzi Kultura, najlepiej redagowany periodyk emigracji, prowadzący rubrykę p.t. „histeria współczesna" — przeczytałem pamiętniki Sławoja-Składkowskiego i Stefana Korbońskiego, który był ostatnim p.o. delegatem rządu londyńskiego na kraj. Przed tym jeszcze przeczytałem w dziennikach Polonii amerykańskiej pamiętniki Mikołajczyka. Autorzy wymienionych pamiętników tak mało orientowali się w sytuacji światowej, reprezentowali tak zaściankowy punkt widzenia, że czyta się te utwory z największym zażenowaniem.

Całe kierownictwo emigracji nie różniło się od wymienionych tutaj pamiętnikarzy. Wiedząc o tym, przestajemy dziwić się klęsce politycznej, przestajemy dziwić się inercji kulturalno - twórczej.

Niepełny byłby ten ogólnopolityczny obraz emigracji, gdyby nie wspomnieć o sprawie najtragiczniejszej. Anglicy bardzo oszczędnie wydają pieniądze. Decydując się w roku 1945 i 46 na zatrzymanie u siebie Polaków, musieli to rozważnie skalkulować. Widocznie w jakichś planach brytyjskich, czynnik polski mógł być przydatny. Dzisiaj odnoszą się do uchodźców wrogo, prawdopodobnie rzeczywistość potoczyła się inaczej, niż przewidywały plany sprzed lat paru i z Polakami nie wiadomo co robić. Sytuacja międzynarodowa ciągle jednak jest dość napięta i gra polityczna toczy się przy pomocy bardzo różnych środków. Jednym ze środków jest niewątpliwie dezorganizacja życia w państwach Europy Wschodniej. Pewne czynniki oficjalne w Anglii, rachują się również z możliwością wojny. W „National News Leter", w nr 637/638, Stephan King - Hall, pisze: „To, co teraz napiszę, może zgorszyć wielu ludzi ponieważ jednak jestem zdania, że upłynie jeszcze szereg miesięcy zanim my (mocarstwa zachodnie) będziemy oglądać i mieć w pogotowiu rozsądną ilość wyszkolonych, zmotoryzowanych dywizji, zdolnych stawić czoło wojskom rosyjskim, powinniśmy ogłosić zupełnie otwarcie, że jeżeli Rosjanie zaczną coś, to my natychmiast uruchomimy plany zorganizowania bardzo poważnych ruchów oporu w Niemczech i Wschodniej Europie. Wszystkie dostępne dla mnie informacje z pierwszej ręki, skłaniają mnie do przypuszczeń, że zwłaszcza we Wschodnich Niemczech, nie zabraknie rekrutów". Jesteśmy w domu. Anglicy będą bardzo zadowoleni, mimo, że wojny nie ma, jeśli Polacy urządzać będą różne konspiracje i akcje wywiadowcze. Od chwili swego powstania „Dziś i Jutro", określało wszelkiego typu działalność konspiracyjną, jako zbrodnię wobec narodu. Ale warto przyjechać do Londynu, aby się naocznie przekonać, jak te sprawy wyglądają od strony kuchni. Tutaj nie potrzebne jest zakłamanie, w które czasem wierzy zbałamucona w kraju młodzież. Nikt nie mówi o ideowej postawie. Najbardziej obskurne typy dwójkarzy, najbar-

dziej amoralni aferzyści, posyłają do kraju kurierów WiNu, nie WiNu, aby interes szedł. Że znajdują się jeszcze w Polsce amatorzy, oddający swe życie w ręce tych panów, tego pojąć nie jestem w stanie.

Oczywiście większość byłych wojskowych to spokojni ludzie, którzy starają przystosować się do jakiegoś cywilnego zawodu. Niestety, spośród nich właśnie rekrutują się awanturniczy wodzowie wszelkich podziemnych spraw, a to z tej prostej przyczyny, że zawód ich wymaga pewnych kwalifikacji wojskowych. Lepiej nie myślmy o nich.

***

Odwiedzam dużo ludzi. Rozmawiam długo ze starym liberałem-sceptykiem, jednym z ostatnich przedstawicieli tego typu ludzi, któ ry według przedwojennej endeckiej nomenklatury podpadł pod miano „masona". Gdy piszę to słowo „mason" tutaj, gdzie stykając się z Polakami cofnąłem się w atmosferę z przed lat dziesięciu, widzę wyraźniej może niż z Warszawy, jak daleką przez ten okres odbyliśmy drogę i że mimo wszystkich „ale", dzisiaj mamy zaścianek już poza sobą. Ale to do tematu nie należy.

Mój mason, jak większość przedstawicieli tego ginącego gatunku, jest bardzo kulturalnym i wykształconym człowiekiem. Zna świat, zna ludzi,umiał rządzić się tak, aby żyć wygodnie znajdować się zawsze w odpowiednim momencie za kulisami różnych ważnych spraw.

Właśnie umarł znany mąż stanu. Prasa podała wiadomość o jego śmierci małemi czcionkami, ponieważ umarł trochę za późno, nie odgrywał już żadnej roli. Tak, gdy umarł Napoleon i przyniesiono tę wieść Wellingtonowi, przerwając mu grę w wista okrzykiem: „co za wydarzenie!" — „To nie wydarzenie, to wiadomość" — odparł stary książe, nie wstając od gry.

„Tak, tak mój panie — mówi mój rozmówca — polityka to bardzo wielka sztuka, wymaga tyle artyzmu, nawet trzeba wiedzieć, kiedy umierać". Znał wszystkich mężów stanu, którzy w ostatnich 30 latach kierowali zachodnią częścią Europy ma więc swój pogląd na stary spór historiozoficzny; czy jednostki tworzą historię, czy też historia wyrzuca na wierzch jednostki. Będąc „masonem odrzuca marksizm i rozwija tezę o nie znanych i nie do opanowania siłach tworzących historię. Przypomina mi to teorię Ferrery, o nie sprawdzalnych instynktach społecznych. Większość karier politycznych jest przypadkowa a pozycja przywódcy zawsze nie trwała. Napoleon napisał w swych pamiętnikach „nigdy nie mogłem zrozumieć dwóch rzeczy: w jaki sposób zdobyłem władzę i w jaki ją utraciłem" — Gdy rada wojenna aliancka w 1918 r. nie mogła się zdecydować komu z generałów oddać naczelne dowództwo, przypadek wybrał Focha, chociaż nikt go przed tym nie znał. Zjawił się z jakimś drobnym interesem w gmachu obrad i wyszedł jako wódz naczelny, ponieważ posiadał zaletę jakiej nie miał żaden z jego kolegów: był pod ręką.

„O losie jednostek decyduje przypadek, zbieg okoliczności, czy jak kto chce— wola Boża", snuje dalej swą teorię mój rozmówca. Wszyscy przywódcy polityczni, których znał, liczyli się bardzo z przesadami i odwiedzali wróżki. Gdy żegnam się z jednym z ostatnich „masonów" nie mogę mu powiedzieć, że historia jego własnego życia, jest najlepszą ilustracją wysłuchanych przeze mnie tez. Łatwiej jest dzisiaj zrozumieć permanentną nietrwałość jego pozycji politycznej i równie permanentną trwałość pozycji materialnej, jeśli się pamięta, że żył on w ostatnim przedłużeniu okresu tzw. demokracji parlamentarnej, która skonała w drugiej wojnie światowej. Dla nas czas wytwornych i bezideowych przewódców politycznych jest czasem bardzo odległym, zamierzchłym Ten świat odszedł na zawsze.

Obiad spożywam z endekiem. Pasjonują go pre-historyczne spory Piłsudskiego z Dmowskim i nie sposób mu wytłumaczyć, że historia zmyła ślad walk tych ludzi dosyć dokładnie. Donkiszot to ponury realista w porównaniu z endekiem ścigającym po Londynie cień Piłsudskiego. Ale mnie to już nie bawi, tak jak nie bawił mnie spotkany wczoraj intelektualista-snob mówiący z angielska o arystokratycznych koligacjach.

Idę do przyjaciela poety, trochę klerykа, trochę pijaka od kilkunastu lat studiującego literaturę na wszystkich uniwersytetach świata. Powinien być anty-rosyjski, cóż kiedy kocha poezję i przy byle okazji recytuje Błoka i Jasienina. Razem chodzimy po różnych Polakach, odbywając paradoksalne rozmowy. Człowiek urodzony w Kijowie, wychowany w Moskwie oświadcza nam, że naprawdę u siebie czuje się w Londynie: „rozumie pan, my zachodnio - europejczycy możemy czuć się dobrze tylko tutaj". Gdy zauważam nieśmiało, że nie zdarzyło mi się słyszeć o Skandynawie, który by we Włoszech od stawiał południowo - europejczyka oraz, że Polska nigdy nie była krajem zachodnim, jest szalenie oburzony. Inny znowu, który całe życie poświęcił na walkę z Rosją po butelce wina woła: „Ameryka nie przechwalają się, że zniszczą bombą atomową Moskwę i Leningrad. Mniejsza o tych barbarzyńców, ale nawet nasi emigranci nie rozumieją, że jeden Leningrad więcej znaczy dla kultury świata od całych Stanów Zjednoczonych". Odwiedzamy naukowca, który ma rodzinę w Polsce, a tutaj jest nocnym stróżem składu drzewa. Nie wróci, boi się. Odwiedzamy baraki robotnicze, obozy żołnierskie, chodzimy po Hyde Parku ze studentami. Poznaję dużo miłych, porządnych ludzi. Poznaję tragiczny los zupełnie skołowanych absolwentów, których przed paroma miesiącami wysłano do Argentyny obiecując im tam złote góry. W krótkim czasie stracili resztę mienia i są z powrotem w Anglii. Mają jechać do Australii. Na ten obłęd nic nie można poradzić. Przed rokiem spotkałem w Ameryce księdza, którego znam od lat i który jest naprawdę szlachetnym człowiekiem. Był on odpowiedzialny za grupę polskich robotników rolnych zagnanych przygodami wojennymi aż do Meksyku. Pierwszą okazją ludzie ci powinni byli wrócić do kraju. Cóż, kiedy ta możliwość wydała się księdzu najbardziej przerażająca. Aby ich przed nią uchronić, przetransportował samolotami całą swoją kolonię w głębokie puszcze południowego Meksyku. Znajdują się oni obecnie w straszliwych warunkach i tropikalnym klimacie, naprawdę za górami i lasami. Pracują przy eksploatacji puszczy i przylatujący raz na parę tygodni samolot, jest poza radiem jedyną możliwością kontaktu ze światem. Niestety, ten przykład, choć drastyczny, nie jest odosobnionym dowodem szaleństwa politycznego uczciwych skądinąd ludzi. W kilkuletnim kontakcie z rzeczywistością, już rozwiały się plany stworzenia narodowego państwa polskiego w jakiejś kolonii. Nikt takiej kolonii ofiarować nie zechciał. Ale jeszcze dzisiaj odwiedziliśmy ideologa, dla którego emigracja to „biologiczne przetrwanie narodu". Dużo tu jest dziwnych ideologów. Aby od nich odpocząć idziemy do polskiej knajpy. Padają „panie z towarzystwa", jak w okupacyjnej Warszawie, co chwila słychać „dzień dobry panie pułkowniku", dzień dobry panie ministrze". Przy stoliku obok pije złota młodzież, ostatni przedstawiciele warstwy, która już całkowicie zrezygnowała z jakiejkolwiek odpowiedzialności społecznej, zdążywszy przed tym wyzbyć się kultury.

W nocy zachodzę do starych przyjaciół, dawniej ziemian, utrzymujących się tutaj z pracy umysłowej. i znowu cofam się w świat zamknięty krwawą linią 39 roku, tym razem jest to wywoływanie wspomnień, które zachowały pełną siłę wzruszenia. Spotykanie ludzi widzianych ostatni raz w innej epoce, wywołuje zjawisko zachodzenia na siebie kilku rzeczywistości i może być opisywane tylko w formie literackiej. Większość Polaków zna to przeżycie.

***

Jak traktuje społeczeństwo angielskie emigrantów? — W okresie wojny Polacy byli bardzo popularni. Po wojnie rząd angielski zasadniczo popierał powstanie wielkiego ośrodka emigracyjnego w dyspozycji brytyjskiej i nie ułatwiał repatryzacji. Niewątpliwie finansowo bardzo emigrantom pomógł i nadal pomaga. Ale ze społeczeństwem stosunki nie układają się różowo. Demonstracje antypolskie są rzeczą dość częstą. Jedną z głównych przyczyn to różnice charakterów i temperamentów. Anglicy nigdy się nie kłócą, nie podnoszą głosu, nie plotkują, wolniej myślą, solidniej wykonywują swój zawód itd. Polakom powszechnie zarzuca ją zarozumiałość i samochwalstwo. Istotnie, zdarzyło mi się spotkać w Walii gajowego z Polesia, który do wybuchu wojny nigdy nie opuścił swojego powiatu, traktuje on swych kolegów gajowych angielskich, nie mówiąc już o robotnikach, jak zupełnych idiotów i nie przyjmuje żadnych rad ani uwag. Oczywiście, nie znając miejscowych warunków i klimatu robi masę błędów. Anglik u którego pracują Polacy, twierdzi, że stosunek nadmiernego zaufania do własnych kwalifikacji zawodowych jest na ogół u naszych rodaków powszechny. Dotyczy to zresztą w większym stopniu pracowników fizycznych, szczególnie rolnych, inteligencja łatwo choruje na snobizm i naśladowanie gospodarzy, co znowu Anglików śmieszy. Nie bez znaczenia jest też zamiłowanie polskie do przechwalania się bohaterskimi czynami oraz często ich rzeczywista potrzeba. Ta nasza cecha narodowa zawsze budziła w Anglikach wątpliwości. W jednej z pierwszych, napisanej chyba przed 50 laty, sztuk Shaw'a „Mezalians" służąca Polka skacze ze spadochronem, tylko dlatego, żeby nie być gorszą od brata, który z kolei odczuwa brak pożarów, bo nie ma gdzie zabłysnąć bohaterstwem. Nudno mu.

Tak jak temu bratu, Polakom w Anglii jest nudno. A Anglicy uwielbiają nudę.

***

Jaki może być dalszy los emigracji? — Pewne jest, że w żadnej koniunkturze politycznej nie odegra roli, jaką odegrać chciała. Prawdopodobnie większość ulegnie wynarodowieniu. Dzieci, już dzisiaj często mówią lepiej po angielsku. Sądzę, że wielu ludzi jeszcze wróci. Oby wróciło jak najwięcej. Ale czym będą wracać później tym bardziej będzie im grozić przygoda, jaka przydarzyła się mojemu stryjowi, też emigrantowi, którą znam z opowieści dziadka. Po powstaniu styczniowym stryj znalazł się w Turcji i tam zakochał się w pięknej córce sułtana. Turczynka też go pokochała i może sam zostałby sułtanem, gdyby nie interwencja sułtana ojca, który brutalnie przepędził bezdomnego oficera. Stryj objechał cały świat, ożenił się z Amerykanką, miał dużo pieniędzy i osiadł w Paryżu. Córka jego znała tureckie przygody ojca i znała też dalsze losy sułtanki, bo w tej epoce wszyscy się znali. Minęło lat bardzo wiele, gdy pewnego dnia córka stryja powstańca dowiedziała się, że sułtanka jest w Paryżu. Chcąc zrobić ojcu miłą niespodziankę doprowadziła do spotkania i wspólnego obiadu Obiad minął w nastroju zażenowania. Po kawie starsza pani odwołała na chwilę córkę stryja i zapytała: „czy pani jest pewna, że ten stary pijak, jest tym samym Wincentym, który ryzykował życie, aby móc mnie spotykać. To niemożliwe!" I wyszła bez pożegnania. Stryj przyjął z ulgą wiadomość o wyjściu starszej pani i powiedział córce: „na pewno chciałaś mi zrobić przyjemność, więc nie mam ci za złe, że umówiłaś mnie z osobą, której nigdy na oczy nie widziałem".

Dominik Horodyński

POEZJA CZYLI RADOŚĆ

Twórczość Chestertona, będąca jednym z najbardziej zdumiewających zjawisk w literaturze katolickiej XX w., jest u nas jeszcze ciągle za mało znana. Nie znamy dostatecznie Chestertona jako — powieściopisarza, a mówić dopiero mówić o Chestertonie — osobiście, jest to z naszej strony dotkliwe zaniedbanie, nie tylko dlatego, że chodzi o jednego z największych przyjaciół Polski, wśród wielkości literackich.

Toteż z niemałą radością notujemy ukazanie się na półkach księgarskich dawno zapowiedzianego tłumaczenia jednej z najpiękniejszych książek „śmiejącego się proroka", esseyu biograficznego o św. Franciszku z Assyżu *).

„Święty Franciszek" jest — tak jak wszystkie utwory Chestertona — dziełem myśliciela i poety. Logiczne rozumowania i urok wzruszenia łączą się w harmonijną całość, nie zacierającą wzajemnie swoich konturów. Tak też trzeba rozważać treść tej książki: wydobyć z niej dzieło myśliciela i dzieło poety.

Jest ona biografią i historiozofią. Połączenie bardzo znamienne i dodajmy—bardzo katolickie. Dla Chesterton osoba ludzka, **każdy** człowiek, niezależnie od wszelkich względów materialnych, jest w najgłębszym nurcie historii, czynnikiem decydującym. Ta personalistyczna filozofia pisarza ukazuje się szczególnie wyraźnie w ujęciu postaci bohatera książki. Franciszek z Assyżu. miał szczególne szczęście do obłudnych wielbicieli, którzy usiłowali wmówić światu, że był on zapowiedzią pogańskiego renesansu. Chesterton na początku swojej książki ukazuje cały nonsens takiego twierdzenia. „Opowiadać dzieje świętego bez wspomnienia o Bogu, jest podobne do opisywania życia Nansena, bez wzmianki o Biegunie Północnym". Musimy przyjąć tę zdumiewającą osobistość taką, jaką w rzeczywistości była: nie można podciągać jej pod sztuczną miarkę swoich abstrakcji.

Franciszek z Assyżu stoi na rubieży dwu epok: skończył się czas pokuty, teraz on ma prowadzić ludzkość ku radości, bo radość jest przeznaczeniem człowieka, dążącego ku niej przez twórcze cierpienie. Franciszek jest wielkim odkrywcą nowego świata. On pierwszy nadał nową treść oczyszczonej już naturze.

Przez wszystkie rozdziały książki cieszymy się obcowaniem z tą postacią, tak zdumiewająco wskrzeszoną przez wielkiego pisarza. Widzimy Franciszka w walce, w cierpieniu, znoszonym radośnie wśród śpiewania trubadurskich pieśni i wreszcie w śmierci uwieńczonej stygmatami. Widzimy twórczy entuzjazm kultury XIII wieku, którą Chesterton wielbi za to, że odnalazła dzięki przewodnictwu Franciszka, drogę do radości, wiodącą przez radość. Głębokie piękno książki polega na tym, że autor ukazuje nam całą alchemię tej radości. Po prostu ukazuje, że jest ona sztuką w najwłaściwszym sensie tego słowa, to znaczy — poezją.

Ta franciszkańska filozofia, ma schemat bardzo prosty. źródłem jej jest miłość, polegająca na najgłębszym zbrataniu się z całą rzeczywistością nadprzyrodzoną i przyrodzoną. Radośnie namiętne,przyjacielskie umiłowanie wszystkich, codziennych spraw życia, wydobywa na światło poezję, ukrytą wśród rzeczy pozornie zwykłych, poezję, która nie jest złudą, ale najgłębszą treścią świata. treścią radosną. Zaczynamy dostrzegać że radość jest najtrwalszym elementem bytu, że leży ona pod powłoką każdego smutku. I zaczynamy rozumieć, dlaczego ideologia Chestertona wyraża się zawsze spontanicznie w barwnej plastyce poetyckiego obrazu. Wystarczy zacytować dla przykładu opis przemiany duchowej Franciszka w owym czasie, gdy po załamaniu się jego kariery rycerskiej i po zatargu z ojcem, stał się pośmiewiskiem całego miasta:

„Nie było na nim ani strzępa nieośmieszonego. Każdy wiedział, że zrobił on z siebie wariata. I gdy tak wpatrywał się w słowo „wariat" wypisane świecącymi literami przed jego wzrokiem, słowo to nagle zaczęło błyszczeć i przemieniać się... Zewnętrzny efekt tego może być wyrażony przez stwierdzenie, że kiedy Franciszek wyszedł ze swojej ciemnicy, nosił słowo „wariat", tak, jak się nosi pióro przy czapce, albo pióropusz, albo nawet koronę".

Tak jest zawsze. Rozpoczyna się od rzeczy zwykłej, w którą wpatruje się poeta i niebawem zaczynamy dostrzegać, jak radosną i fantastyczną— pozostając zupełnie realną — staje się rzeczywistość w świetle takiego spojrzenia. Chesterton jest bez wątpienia realistą, a jeżeli jego książki są wolne od balastu nudy, pedanterii, sadyzmu i okrucieństwa, którymi nas częstuje tak wielu naturalistów, — to dzieje się to dzięki temu, że wejrzał on w rzeczywistość głębiej i bardziej odkrywczo, taki realizm w sposób naturalny rodzi poezję.

II.

Polscy wydawcy „św. Franciszka", starali się uczynić wszystko, aby ukazać czytelnikom mądrość i piękno tej książki. Przekład Artura Chojeckiego, wiernie odtwarza poetycką barwność stylu Chestertona. Obszerny wstęp, pióra dra Przemysława Mroczkowskiego, wnikliwie oświetla postać i twórczość pisarza. Dodane na końcu przypisy umożliwiają pełne zrozumienie treści, a jednocześnie są pewną oceną krytyczną Warto zaznaczyć, że opatrywanie takimi komentarzami książek, nawet współczesnych autorów, jest dobrą drogą upowszechnienia kultury.

Zygmunt Kubiak

*) G. K. Chesterton: — „Św. Franciszek z Assyżu", tłum. Artura Chojeckiego, wstęp i objaśnienie dra Przemysława Mroczkowskiego, wyd Księgarni św. Jacka w Katowicach 1949, str. 176.

Zygmunt Jakimiak

BRAK PRZEMYŚLENIA

Trudna jest polemika z p. Janem Szczepańskim. Przynajmniej tak mi się wydaje na podstawie jedynego jego artykułu, jaki przeczytałem we „Wsi" (nr 3 (182), w którym omawia on krytycznie książkę prof. Krzyżanowskiego o chrześcijańskiej moralności politycznej. Trudno z nim dyskutować dlatego, że pisze sugestywnie, rozumowania jego mają pozór nieskazitelności logicznej, a cała postawa daje silne złudzenie obiektywizmu. Ale trudność nie jest jeszcze niemożliwością. Owszem, cieszyć się raczej wypada, że czasami i to niespodziewanie spotyka się godnego przeciwnika. Wyraziwszy tę radość, spróbujmy, czy zbroja jego jest rzeczywiście tak nieprzenikliwa, jak się wydaje.

Głównym chyba zarzutem, jaki autor artykułu stawia sławnemu profesorowi, jest jego stanowisko, a raczej podstawa, na jakiej się on opiera. „Pogląd profesora Krzyżanowskiego — pisze autor — można utrzymać podporządkowując naukę teologii. „I dalej: „Stanowisko prof. Krzyżanowskiego jest stanowiskiem religijnym. U podstaw jego leżą objawione dogmaty." Mówi jeszcze autor o „jednostajności książki" itp., ale wystarczy. Autor artykułu „respektuje wiarę autora, ale jej nie podziela".

Przypuszczać należy, że p. Szczepański nie po to pisał długi artykuł, żeby tylko powiedzieć, że nie jest katolikiem. O tym i bez artykułu doskonale wiadomo. Przytoczone więc zwroty są co najmniej niepotrzebne logicznie. Toteż są one raczej wyznaniem, co prawda tylko negatywnym, jego osobistej wiary, umieszczonym na końcu, jako konkluzja wywodu, w którym usiłuje on udowodnić istnienie braków rzeczowych i logicznych w stanowisku prof. Krzyżanowskiego.

Ludzie, idący różnymi drogami, zawsze mogą się wzajemnie przekonywać, że są na błędnej drodze i namawiać się, żeby poszli drogą właściwą. Ale w jaki sposób skutecznie przekonywać?

Spór o światopogląd można prowadzić tylko dwoma sposobami i oboma jednocześnie. Spychanie ze stanowiska dowolnymi twierdzeniami nie jest żadnym argumentem rzeczowym. Nie jest nim też odrzucanie postawy, takiej, czy innej. **Można tu tylko wykazywać wewnętrzne sprzeczności w poglądzie przeciwnika i przy tym wskazywać na ich brak we własnym.** To jest prawdziwy argument. Należy tu jeszcze sprowadzenie do absurdu systemu przeciwnika, ale to jest ten sam rodzaj dowodzenia. Drugim argumentem będzie zestawienie systemu przeciwnika z rzeczywistością, a nawet oczywistością, bo nie wszystko rzeczywiste jest oczywiste. Do tego argumentu należy wykazanie zgodności własnego systemu z oczywistością. Kto te dwa zadania wykonał bez zarzutu, ten bezsprzecznie jest zwycięzcą.

Zajmuje mnie tu tylko pytanie, czy p. Szczepański postąpił według wspomnianych wymagań, czy obie metody dowodzenia przeprowadził bezbłędnie. Czy więc: — I Wykazał on sprzeczności wewnętrzne w systemie prof. Krzyżanowskiego? i II — Czy dowiódł on niezgodności tegoż systemu jako całości, z oczywistością? Dwa te pytania są tematem niniejszego artykułu.

Przyznać należy, iż czytelnik z początku poważnie podejrzewa taki właśnie zamiar autora. Z niemałą uciechą intellektualną śledziłem, jak autor gęsto cytuje krytykowaną książkę, spodziewając się uczty obfitej, dotąd niewidzianej.

Spotkał mnie zawód. Już z początku autor rezygnuje z wykazania wewnętrznych sprzeczności. Może że o tym w ogóle nie pomyślał, czy też nie było to jego celem. W każdym razie pisze on: (Nakazy moralne religijne) „rozpatrywane jako idee w swoich werbalnych sformułowaniach, posiadają niewątpliwie swoją logiczną spójność i samodzielność". Dość. Jest to całkowita rezygnacja z dowodzenia wewnętrznych sprzeczności krytykowanego systemu. Jest on więc, nawet według pana Szczepańskiego logicznie doskonały.

Za to tym goręcej zajmuje się autor zestawieniem go z oczywistością. A najpierw usiłuje podważyć twierdzenie prof. Krzyżanowskiego o niezmienności tego systemu i jego nadziemskim pochodzeniu. Przeczy temu jego zdaniem, rzekoma zmienność sformułowań nakazów moralnych w dziejach chrześcijaństwa, co podkreśla w swej książce nawet prof. Krzyżanowski. Fakty, cytowane na poparcie tego twierdzenia, (nawracanie mieczem pogan, pobieranie procentów od Żydów i pogan i zakaz ich pobierania od chrześcijan, oraz tp.), mają tego dowodzić. Za dużo zajęłoby miejsca tu omawianie meritum tych faktów, który, jako niewierzący, nie może ich rozumieć właściwie. Przyjmując jednak, dla wygody, że istotnie oznaczają one zmienność moralności katolickiej w historii (choć tak nie jest), nie możemy jeszcze logicznie twierdzić, że moralność ta nie jest nadziemska i niezmienna. Mniemanie ludzkie nie jest jeszcze prawdą. Ziemia zaczęła się kręcić koło słońca nie od czasów Kopernika. Prawa Newtona działały przed Newtonem. To chyba jest oczywiste. Jeśli więc katolicy rzeczywiście kiedykolwiek zmieniali swoją moralność, to niekoniecznie dla tego, że jest ona zmienna i ludzka, ale że oni sami byli zmienni i ludzcy. Ich moralność, biorąc rzecz logicznie, mogła być nadziemska i niezmienna. Ale oni mogli dobrze jej nie znać. Nie udał się ten wywód. Moralność katolicka może być wieczna i ponad historyczna.

Nim pójdę dalej, zwrócę tu jeszcze uwagę na niedopuszczalne nadużycie logiczne, jakiego się dopuszcza pan Szczepański. Oto na każdym kroku zwalcza on postawę prof. Krzyżanowskiego swoją własną postawą. Pewnikami, jakie sam przyjmuje, chce podważyć system przeciwnika oparty na innych pewnikach. Tak nie można. Pewnik jest to twierdzenie, którego się nie dowodzi, ale przyjmuje dogmatycznie w systemie logicznym. Nie można np. dowodzić fałszu geometrii Riemana pewnikami geometrii Euklidesa. Ma i pan Szczepański swoje dogmaty, swoje pewniki, które wyznaczają jego system i gruntują jego stanowisko. Np. takie dowolne twierdzenie: „...nie trzeba zapominać, że warunki środowiskowe mają przemożny wpływ na wyznaczenie działań ludzkich, a zatem i

(Dokończenie na str. 9).

Co piszą inni...

Okres ostatnich miesięcy obfitował w doniosłe wydarzenia dla naszego życia kulturalnego. Sprobujmy sobie najważniejsze z nich choć w sposób kronikarski przypomnieć. Jeśli się cofniemy nieco dalej będzie to Wrocławski Kongres Intelektualistów w obronie pokoju, potem zaś doniosłe przemiany polityczne w obozie marksistowskim i ich rezonans na terenie kultury, a dalej takie wydarzenia, jak powołanie Głównej Komisji dla Spraw Kultury przy Prezyd. Rady Min., proklamowanie uintensywnienia walki z analfabetyzmem, przyznanie pierwszych państwowych nagród artystycznych i wreszcie ostatnio Walny Zjazd Literatów w Szczecinie. Z wydarzeniami tymi zbiegło się też szereg obchodów jubileuszowych, przede wszystkim 50-lecie twórczości Leopolda Staffa, oraz dwie wielkie rocznice: mickiewiczowska i szopenowska, które stały się okazją do przypomnienia naszych najpiękniejszych tradycji kulturalnych.

Można też z zadowoleniem stwierdzić, że okres ten wniósł pewien nowy ferment myślowy. W obliczu tych wszystkich wydarzeń powróciła znów na warsztat rozważań sprawa poglądu na kulturę. Poczyniono obrachunki i podjęto próby formułowania nowych drogowskazów. Wystarczy przypomnieć doniosłą wypowiedź Borejszy w „Odrodzeniu" w artykule „Pokongresowa kropka nad i". Ale, nie zatrzymano się tylko na aktualnych i doraźnych receptach. Formułowanie zaleceń i drogowskazów narzuciło konieczność określania ogólnego poglądu na kulturę. W szczególności zjazd szczeciński i przygotowania do niego przyczyniły się do dokonania szeregu precyzji. Uwydatniły się w nich na nowo odmienności wynikające z różnic światopoglądowych.

W ostatnim okresie jesteśmy świadkami polemiki, jaka wywiązała się w związku z wypowiedzią Jerzego Turowicza w „Tygodniku Powszechnym" w artykule „Kultura i polityka". Turowicz przeciwstawiając się apolityczności, czy neutralności kultury, wystąpił gorąco przeciwko jej upolitycznianiu. „My katolicy — pisze redaktor „Tygodnika Powszechnego" — także żądamy od ludzi kultury aby posiadali światopogląd, by pamiętali o funkcji społecznej każdego dzieła kultury, o tym że kulturę budują na zamówienie społeczne i że muszą robić to świadomie i odpowiedzialnie. Ale to wszystko nie znaczy, by wolno było kulturę podporządkować polityce. Bo jeśli, to już raczej polityka winna kulturze służyć.... Udział w kulturze, to kształtowanie się człowieka, jego rozwój i jego wyrażanie się na zewnątrz, zostawianie śladu w kulturze. A wszystko to dokonuje się przez szukanie prawdy i służenie jej. Szukanie — to jest istotne słowo. Cała kultura jest przede wszystkim poszukiwaniem...' polityka jest tu poniekąd środkiem do celu, którym jest kultura. Zadaniem polityki jest stworzyć możliwie najlepsze warunki do rozwoju kultury, warunki techniczne, powiedzmy zewnętrzne. Natomiast nie jest — jak sądzimy — zadaniem polityki decydowanie o treści kultury."

Wywody Turowicza spotkały się z ostrym sprzeciwem ze strony ph. w „Kuźnicy" w artykule pt. „Fikcyjne przeciwstawienie".

Proszę mi wybaczyć dygresję, ale nie wchodząc narazie w merytoryczną treść artykułu muszę z zadowoleniem podkreślić jego formalne zalety. Artykuł napisany jest z dużym taktem i odpowiedzialnością za słowa. Szkoda, że jest to nadal jeszcze wśród naszych polemistów zjawisko odosobnione.

Ale wróćmy do meritum sprawy. Publicysta z „Kuźnicy" zgadzając się na założenia Turowicza co do zadań polityki w stosunku do kultury, odrzuca jego tezę o odrębności i autonomii kultury, o tym że polityka nie może decydować o treści kultury. Rozróżnia on dwa rodzaje polityki — „politykę przeciwko człowiekowi i politykę sprzyjającą rozwojow. wszystkich dodatnich możliwości człowieka". Za pierwszą uważa „egoistyczne politykierstwo mieszczańskie", za drugą politykę obozu marksistowskiego. „W marksizmie — pisze — działalność polityczna i kulturalna nie da się rozdzielić. Jeśli proletariat w wyniku rewolucji osiąga pełnię władzy, to jednocześnie proletariat staje się odbiorcą wszystkich dóbr kulturalnych przeszłości i twórcą dóbr nowych. Jest więc rzeczą jasną, że dla politycznego działacza klasy robotniczej sprawy kultury nie są, nie mogą być obojętne, podobnie jak dla pisarza związanego z ideologią socjalizmu nie są, nie mogą być obojętne sprawy polityki. Oczywiście zdarzyć się może tak, że „polityk" nie rozumie istoty spraw kulturalnych, że je upraszcza, że nie dostrzega ich skomplikowanej treści." To zaś — zdaniem ph. — wypływać może jedynie z niezrozumienia całej humanistycznej treści marksizmu.

Nie zamierzam tu występować w roli adwokata red. Turowicza. Zrobi to sam, o ile uzna za słuszne, daleko lepiej. Zresztą w tych sprawach słuszność bezwzględna nie istnieje nigdy wyłącznie po jednej stronie. Nie chodzi bynajmniej o eklektyczne kojarzenie odmiennych stanowisk, ale o dokonywanie wysiłku objęcia całej prawdy.

Celem nie jest ani kultura sama w sobie, ani polityka. Obydwie mają inne bezpośrednie zadania, ale wspólny nadrzędny cel. Tym celem jest ludzkość, jej rozwój. Oczywiście inaczej pojmują ten cel marksiści, a inaczej katolicy. Wolno marksistom wierzyć, że ich humanizm jest pełniejszy, bo jak pisze ph. „jako podstawę zakłada świadomość i moc człowieka, który sam jest w stanie urządzić swoje życie mądrzej i lepiej niż ono było dotąd urządzone", ale mamy prawo i my wierzyć, że nasz humanizm jest pełniejszy i głębszy, bo nie negując twórczych możliwości człowieka stawia mu cele dalsze i głębsze, ziemskie i pozaziemskie.

Polityka i kultura ma służyć człowiekowi. Ani kultury nie można podporządkować polityce, ani na odwrót, ale trzeba ustawić je w stosunku do siebie tak, aby najlepiej spełniały swe odmienne w swym bezpośrednim, jednakie w ostatecznym celu zadania.

Wydaje mi się, że w dialogu między Jerzym Turowiczem a jego polemistą z „Kuźnicy" zabrakło jednego istotnego słowa. Zabrakło jego wyraźnego sprecyzowania. Tym słowem jest: ideologia.

Kultura jest szukaniem i tworzeniem wartości ideowych. Polityka ich praktyczną realizacją. Ideologia jest spójnią łączącą kulturę i politykę. Ideologia wskazuje kierunek pracy kulturalnej i oddziaływuje twórczo na jej treść. Ona też wskazuje polityce jej zadania w praktycznym realizowania wytworzonych wartości i stwarzaniu warunków twórczej działalności kulturalnej. Ona jest pomostem, przez który kultura przekazuje swe wartości do realizowania polityce i stawia jej żądania o stworzenie warunków twórczej pracy. I na odwrót tą drogą polityka przekazuje kulturze swe społeczne zamówienia.

Powiedziałem powyżej, że ideologia oddziaływuje twórczo na treść kultury. Oddziaływuje twórczo, zapładnia ją, ale nie decyduje o jej treści, nie wyznacza ram i nie ustala form. Bo słusznie mówi Turowicz, że kultura jest przede wszystkim szukaniem, szukaniem wartości. I słusznie mówi też, że „jedność ideowa kultury może powstać tylko od dołu, od wewnątrz, nigdy zaś na drodze politycznego nacisku". Nie ma, a raczej nie powinno być przeciwstawienia pomiędzy kulturą a polityką ideową. Nie ma przeciwstawienia zarówno między polityką ideową, a kulturą wyrosłą w oparciu o tę samą bazę światopoglądową, jak i między polityką ideową a kulturą wywodzącą się z odmiennych kręgów światopoglądowych. Produkt kultury jest wartością, wartością samą w sobie, niezależną od swej zewnętrznej etykiety. I polityka ideowa, której zadaniem jest praktyczne wcielanie tych wartości w życie, powinna czerpać je niezależnie od tej etykiety, powinna realizować same wartości niezależnie od firmy, która je wypuściła.

Między kulturą a polityką nie ma przeciwstawienia, jest tylko odrębność bezpośrednich zadań, oraz odrębność metod pracy. A odrębność niekoniecznie musi być przeciwstawieniem. Odrębność ta absolutnie nie wyklucza wzajemnego przenikania. Odbywa się ono w ramach jednego światopoglądu poprzez styczność ideową, w stosunku zaś do kultury wychodzącej z odmiennych kręgów światopoglądowych poprzez przekazywanie jej przez politykę społecznego zamówienia, oraz realizowanie praktyczne stwarzanych przez nią wartości, wartości jako takich, niezależnie od ich zewnętrznej etykiety.

tm.

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA
SP Z O.O.
PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY
WSZELKIE WNĘTRZA.
ŁĄCZNIE Z MEBLAMI
BUDOWA WYSTAW

Zygmunt Lichniak

POWOJENNA TWORCZOŚĆ

I

Wojciech Bąk wydał przed wojną trzy tomy poezji. W r. 1934 — „Brzemię niebieskie", w r. 1936 — „Śpiewną samotność", w r. 1938— „Monologi anielskie". Już pierwszy tom zdobył 27-letniemu wtedy poecie niemały rozgłos i sławę. „Brzemię niebieskie" zostało uznane za najlepszą książkę roku. Werdykt ogłosiła redakcja „Wiadomości Literackich" na podstawie orzeczenia wybranej przez plebiscyt czytelników prowizorycznej Akademii Niezależnych. Dzisiaj — z perspektywy prawie piętnastu lat — orzeczenie to wydaje się być raczej świadectwem urzekającej siły ciekawego debiutu, niż możliwie zobiektyzowanej oceny, bo przypomnieć warto, że rok wydania „Brzemienia niebieskiego „był jednocześnie rokiem wydania utworów tej miary, co „Nurt" Berenta, „Czerwone tarcze" Iwaszkiewicza, czy „Sklepy cynamonowe" Schulza. Ale faktu zasadniczego to nie zmienia: Bąk wkroczył do literatury współczesnej jako jeden z większych talentów. Wystartował świetnie. To zobowiązywało i zobowiązuje do rzetelnych wysiłków pisarskich. Do „nie zniżania lotu". A jeśli się przypomni superlatywy, jakimi krytyka przedwojenna obdarzyła pierwsze kroki poety, jeśli się pamięta, że byli nawet tacy, którzy witali go „z entuzjazmem równym chyba temu, jakim darzono Tuwima „Czyhanie na Boga", wzrasta skala wymagań, jakim powinna sprostać powojenna twórczość Wojciecha Bąka.

II.

Po wojnie, w ciągu trzech lat (1946 — 1948) Bąk wydał siedem nowych książek[1]).

Ocena tego drugiego etapu twórczości nasuwa większą trudność, niż ta, jaką mieli do przezwyciężenia krytycy, znający tylko trzy początkowe tomy poety. Zwiększenie tej trudności nie wynika ze wzrostu ilości dzieł, który (co warto od razu kilku symplifikatorom wyjaśnić) nie ma nic wspólnego z tzw. „króliczą płodnością", a jest raczej wynikiem poważnego traktowania rzemiosła i systematycznej pracy pisarskiej. Zwiększenie trudności oceny wynika z czego innego: z różnorakości gatunkowej powojennych wystąpień literackich Bąka. Bąk reprezentuje w drugim etapie swojej twórczości coraz częstszy w niespokojnej aurze naszego powojennego życia literackiego typ pisarza „szukającego", próbującego wypowiadać się środkami ekspresji kilku odrębnych gatunków, i odmiennych rodzajów literackich. Nie będziemy teraz wnikali w teoretyczne i praktyczne pobudki różnokierunkowych wypadów. Zrezygnujemy nawet ze sporu na temat, czy są te wypady dowodem godnego pochwały dążenia do wielostronności, czy też karygodnego niezdecydowania. Poprzestaniemy na stwierdzeniu faktu, że ta wielorakość gatunkowa utrudnia ocenę całokształtu twórczości, nakazuje zajęcie się oceną osiągnięć w zakresie poszczególnych gatunków, a do pióra później każe podejmować ryzykowną, niebezpieczną i trudną, choć niewątpliwie pociągającą próbę syntezy. Łatwiej w takiej sytuacji o pomyłkę,, o niedomiar lub nadmiar, o uproszczenie i sztuczność — to jasne. Ale niebezpieczeństwa te nie mogą odstraszyć od ujęcia syntentycznego, choć mogą i powinny ostrzec przed jego ewentualnymi błędami. Zastrzeżenia te dyktuje nie skromność, ale uczciwość. I Wojciech Bąk. Bąk — poeta, Bąk — dramaturg, Bąk — prozaik, Bąk — publicysta i krytyk literacki.

III

Interesuje nas przede wszystkim Bąk — poeta. Do trzech przedwojennych dodał trzy powojenne tomy poezji: „Syna ziemi", „Piątą ewangelię" i „Dłonie z wiatru". Więź między tymi dwiema seriami przedzielonymi wojną pozostała mocna i nierozerwalna. Jest nią problematyka poezji Bąka. O problematyce jego przedwojennych tomów mówił Kazimierz Czachowski, że „ma charakter religijno-filozoficzny, wynika z duchowej potrzeby kulturalnej wiecznego poszukiwania absolutnej prawdy, z pobudzonej myślą metafizyczną konfrontacji dotykalnej zmysłami rzeczywistości z jej pozaświatowym znaczeniem". („Obraz współczesnej literatury polskiej", t. III, str. 368). Tłumacząc na język prostszy to trochę kabalistycznie i kapichnę mętnie brzmiące określenie, można o „Brzemieniu niebieskim", „Śpiewnej samotności" i „Monologach anielskich" powiedzieć, że ich problematyka sprowadzała się do poetyckiego wykładu filozofii, usiłującej codzienność tłumaczyć na wieczność, próbującej zhierarchizować wartości doznań świata przyrodzonego w porządku nadprzyrodzonym, filozofii chrześcijańskiej. Oczywista, zastrzec się od razu należy, że nie determinowało to wcale charakteru i doboru narzędzi poznawczych czy środków ekspresji. Bąk nie operował ścisłymi miarami metafizyki, ale analizą, intuicyjną analizą różnych stanów uczuciowych, różnych doznań. Wyników swoich nie ogłaszał w języku pojęć i abstraktów, ale wyrażał je mową przenośni i obrazów. Poznawał przecież i wykładał poeta, a nie uczony profesor. Taki właśnie wykład stanowił trzon problematyki przedwojennych utworów Bąka.

Po wojnie trzon ten nie uległ zmianie. „Syn ziemi", „Piąta ewangelia" i „Dłonie z wiatru" są kontynuacją poetyckiego wykładu filozofii chrześcijańskiej. Kontynuacją, której pierwszy etap polega na umacnianiu trzonu przedwojennego, zachwianego zawieruchą wojenną. Bąk polemizuje z rzeczywistością, która argumentami sześciu lat wojennych usiłuje podważyć jego wiarę w nadprzyrodzony sens istnienia, w miarę sprawiedliwości i w miłość, jako dźwignię lepszego świata. W polemice tej chwilami słabnie.

Ścieżki zgubiły cele. Kiedy po nich chodzę,
Niosą mnie — jako konie, co straciły drogę —
Ja wypuściłem z rąk mych, wędzidło i wodze —
I nie czuję zdumienia — i odsuwam trwogę.

Niech niosą, kędy zechcą. Jeśli ładem ziemia,
To przecież cel swój znajdę — i krążąc dojadę —
A jeśli ziemia ślepa — i w niej ładu nie ma,
To jakiż cel przed wielkim mnie schroni nieładem!

(„Syn ziemi", str. 61)

Ale są to tylko chwile. Mijają i poeta znów „w synów wierzy" „z zatrutych źródeł pije wiarę i otuchę" i „wita świt pochwałą wbrew zgliszczom, popiołom". To „wierzenie w synów", „picie ze źródeł" i „witanie świtów" przestaje być chwytem polemicznym w poetyckiej dyskusji z okrucieństwami rzeczywistości wojennej, a staje się (zwłaszcza w następnych tomach: w „Piątej ewangelii" i w „Dłoniach z wiatru"), treścią i myślą przewodnią misji apostolskiej, której swoją poezję oddaje Bąk bez reszty. Dokonywa się wtedy w nim bardzo ważne przejście od—mimo wszystkich wysublimowań egotycznej postawy centralizującej w sobie wszechświat doznań jednostki ku umiłowaniu wszystkiego niemal i

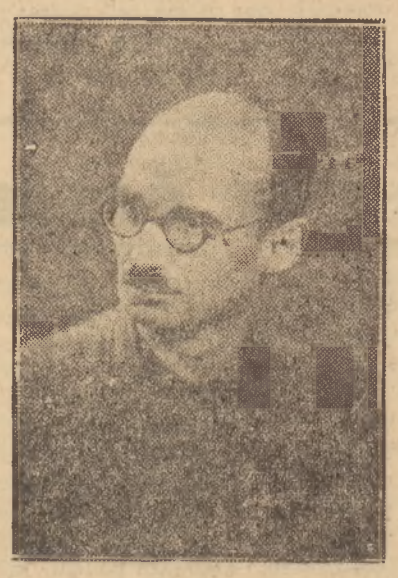

wszystkich. W „Dłoniach z wiatru" (jak zresztą — choć w mniejszym stopniu — i w „Piątej ewangelii") zapały apostolskie parzą mistycznym żarem, gorączką szlachetnych pragnień, a umiłowanie bliźniego i natury dochodzi granic prawie panteistycznych uniesień i tylko franciszkańskie motywy pozwalają usunąć obawy o to, aby poeta — zachłystując się wszechmiłością wszechświata — nie zgubił się we wszechpotędze wszechwerbalistycznego wszechmęczeństwa.

Radości uświadamiania tych piusów problematyki poetyckiej Bąka towarzyszy jednak niepokój o ich wyraz artystyczny. Bąk należy do tego typu poetów, którzy chyba [illegible]wykli z ołówkiem korektora powracać do bruliónów swoich wierszy. Bruliony wysyła do drukarni. Metoda w równej mierze ambitna, co niebezpieczna. Zaufanie pierwotnym pomysłom, pierwotnym skojarzeniom, poprzestanie na pierwszych układach słów, pierwszych projektów strof, rezygnacja z cyzelowania, obrabiania wyrzuconej z wnętrza lawy, lekceważące machnięcie ręką na cały arsenał allegorii, szerzej rozbudowanej metafory, czy głębiej przepracowanej onomotopei, świadome sprymitywizowanie środków ekspresji, a przynajmniej świadome zubożenie ich o wtórny wysiłek artysty — kontemplatora, czy artysty — obserwatora, obiektywizującego a przez to i pogłębiającego swój stosunek do dzieła, poprzestanie na wysiłku improwizacji — wszystko to świadczy o wielkiej ambicji i wielkiej nieostrożności. I ta ambicja i ta nieostrożność cechuje poezję Bąka. Nie chodzi tu o wystawianie cenzurek. Od tego są już u nas inni specjaliści. Ale łatwo spostrzec nierówność osiągnięć formalnych autora „Piątej ewangelii", nierówność, której się nie wytłumaczy tym, że „ano, tak bywa, są wiersze gorsze i lepsze", ale nierówność, która zastanawia, boli i — oskarża. Na tej nierówności polega główna słabość artystyczna powojennej (bo nie przedwojennej) twórczości Bąka. Dlatego warto i zilustrować ją przykładem i pokusić się o głębsze wnioski. Oto wynik „szczęśliwego momentu", wiersz, który dla swej treści znalazł usprawiedliwiający miano poezji wyraz artystyczny.

Śpiew mi tylko pozostał, gdy nic nie zostało...
I ważę go na dłoni: — Jak mało! Jak mało!
A on rośnie mi w ręce — jak chlebem się dzielę —
I śpiewu coraz więcej: — Jak wiele! Jak wiele!

Nie nasyci, gdy głodne i spragnione ciało,
Serce w słowo wcielone: — Jak mało! Jak mało!
A przecież poza łzami w mych oczach wesele —
To z śpiewu uśmiech w smutku: Jak wiele! Jak wiele!

Kto chce, niech nim pogardzi Że śpiewem zabrzmiało,
To w czasie zgliszcz i armat: — Tak mało! Tak mało!
Lecz są serca, dla których śpiew wybawicielem,
I one jedne wiedzą: — Jak wiele! Jak wiele!

(„Syn ziemi", str. 11).

Oczywista i w tym wierszu czujniejszy i troskliwszy korektor niejedno powinienby poprawić i niejedno powtórnie przepracować: niepokoi bowiem trochę i retoryka powtórzeń, i wywołane nią wrażenia dłużyzn lub katarynkowatości, a wreszcie słabizna pointy, polegająca na sentymentaliźmie i banalności. Ale braki nie zasłaniają zalet. Wiersz „ma szanse". Ale co począć z takimi utworami, jak „Do Warszawy"? Nawet fragmenty mogą zasmucić i — jak szczerość to szczerość! — odstraszyć.

---

*) Wojciech Bąk: Syn ziemi (poezje), Łódź — Wrocław, 1946, wyd. Wł. Bąka, str. 136. Wojciech Bąk: Piąta ewangelia (poezje), Łódź — Wrocław, 1946, wyd. Wł. Bąka, str. 83. Wojciech Bąk: Sługa Don Kichota (tragikomedia). Łódź — Wrocław, 1947, wyd. Wł. Bąka, str. 97. Wojciech Bąk: Zagadnienia i postacie (essecje), Łódź — Wrocław, 1947, wyd. Wł. Bąka, str. 117. Wojciech Bąk: Św. Franciszek (misterium), Łódź — Wrocław, 1948, wyd. Wł. Bąka, str. 129. Wojciech Bąk: Twarze (powiadania), Łódź — Wrocław, 1948, wyd. Wł. Bąka, str. 141. Wojciech Bąk: Dłonie z wiatru (poezje), Łódź — Wrocław, 1948, wyd. Wł. Bąka, str. 118.

DŹWIĘK

Mam nadzieję, że uważni czytelnicy (a więc wszyscy) spostrzegli w pierwszej części (w Nr 6) dwa błędy korektorskie, zmieniające sens zdań. Brak maleńkiego słówka „nie" w zdaniu, które powinno brzmieć „Przy kojarzeniowym połączeniu łączenia obrazu z dźwiękiem realizator musi zwrócić uwagę na fakt, że jedne i te same bodźce **nie** zawsze wywołują identyczne skojarzenia" i dalej „Ucho ludzkie chwyta znacznie wolniej niż oko i wskutek tego tempo zmiany obrazów musi być zwalniane i dostosowane do możliwości **słuchu** (— nie technicznych oczywiście —) albo efekty dźwiękowe muszą być specjalnie opracowywane. Rozwiązanie tego rodzaju problemów zależy od możliwości technicznych".

**
*

Przedstawione poprzednio (w pierwszej części) ogólne wprowadzenie chciałbym dzisiaj uzupełnić, podając, garść szczegółów dotyczących kilku bardziej charakterystycznych zagadnień.

Możemy przeprowadzić ogólny podział dźwięków na trzy rodzaje: głos ludzki, muzyka i dźwięki pozostałe.

Głos ludzki, dialog, jest w obecnym filmie elementem, który częstokroć stoi na przeszkodzie uzyskaniu ekspresji czysto filmowej. Paul Rotha, omawiając film niemy i dźwiękowy pisał: „Dialog przez swój realizm reprezentuje rzeczywisty czas, a nie filmowy czas wyobrażenia wzrokowego. Jest to w bezpośrednim przeciwieństwie do tych wszystkich dominujących elementów, zapomocą których osiągano efekty emocjonalne przez wyobrażenie wzrokowe".

W konsekwencji użycia głosu w filmie realizator musi pamiętać nie tylko o tym, że słuch ludzki reaguje wolniej niż wzrok, ale również o tym, że przy użyciu efektów słuchowych, zwłaszcza dialogu, na rzecz tych efektów ograniczona jest u widza zdolność recepcji wrażeń wizualnych. Powoduje to konieczność możliwie subtelnego operowania dźwiękiem, którego wartość powinna być wykorzystana w właściwych granicach. Oczywiście jest to uwarunkowane posiadaniem przede wszystkim dobrego scenariusza, napisanego specjalnie dla filmu, który odpowiadałby potrzebom filmu (unikanie teatralizacji itp.).

Spowodowane specyficznymi warunkami pracy użycie na terenie radia sztucznych efektów dźwiękowych i pozytywne rezultaty, kazały producentom filmowym rozpocząć próby zastosowania sztucznych dźwięków również w filmie. Próby powiodły się i obecnie często tam, gdzie uzyskanie dźwięku naturalnego jest trudne, stosuje się zagranie sztuczne. Zwykle dźwięk zasadniczy jest rozkładany na elementy, które są nagrywane oddzielnie i łączone. (A więc uzyskanie odgłosu pocisku w uproszczonym dla przykładu ujęciu przedstawiałoby się jako oddzielne nagranie np. gwizdu, strzału rewolwerowego, petardy w pustym pomieszczeniu, dającym echo i odgłos pioruna).

W użyciu są również t. zw. biblioteki dźwiękowe, w których każdy nagrany dźwięk jest zarejestrowany i w razie konieczności może zostać ponownie użyty. Przy pomocy tego rodzaju biblioteki został udźwiękowiony film o Arnheim (prod. angielska) do realizacji którego został użyty materiał dźwiękowy ,nagrany podczas inwazji. Jako przykład ilustracji dźwiękowej można przytoczyć użycie echa w scenach w w filmie „Obywatel Kane", czy pełne umowy, wytwarzające jednoznaczną atmosferę odgłosy pociągów w „Spotkaniu" („Brief Encunter").

Mając już nagrane oddzielnie wszystkie efekty — np. w scenie nad morzem odgłosy fal, krzyk mewy, szum motoru, samochodu i dialog — nagrywający przy pomocy deski kontrolnej włączając je w odpowiednim momencie i regulując nasilenie łączy je i stwarza całkowity podkład dźwiękowy.

Gdy warunki miejscowe (np. nagranie dialogu w hałaśliwej fabryce) uniemożliwiają bezpośrednie nagranie, głos oryginalnego aktora jest nieodpowiedni, film musi zostać udźwiękowiony w obcym języku — dialog jest nagrywany osobno, po nakręceniu obrazu i następnie głos jest nakładany w synchronizacji z akcją i ruchami aktora (ruchy warg!). Technika ta rozwinęła się ostatnio w bardzo szerokim zakresie i nawet filmy przy nakręcaniu

WOJCIECHA BĄKA

Księżycu nad Królewską i Saskim Ogr odem,
Litościwie mnie zamroczł Jeszcze czas na jawę...
Boję się widzieć prawdę! I chwalę pogodę
Wieczorów nad domami, co dziś — klęczą krwawe.

Zbyt wiele krwi widziałem — a tam nie ulice,
Lecz rzeki krwi, co jeszcze nie wy schła — wchłonięta...
I tam nie kamienice — ale męczenni ce...
Widziałem je w płomieniach... i ból ich pamiętam.

(„Syn ziemi", str. 97).

Tak tandetną hiperbolikę i retorykę wobec tak wielkiej powagi tematu wytłumaczyć można tylko niechlujstwem poetyckim i chwilowym zanikiem poczucia równowagi artystycznej. To może się zdarzać różnym pseudo - poetom ale nie poecie z prawdziwego zdarzenia. Tu coś jest nie w porządku. Zwłaszcza, że przykład jest tylko przykładem, a nie wyjątkiem. Zwłaszcza, że pamiętamy wyrównany poziom i znacznie rzetelniejszą robotę poetycką „Brzemienia niebieskiego" czy „Monologów anielskich".

IV.

„Świętym Franciszkiem" i „Sługą Don Kichota" zadebiutował Wojciech Bąk jako dramaturg. Widocznie ma on szczęście do debiutów, bo debiut wypadł bardzo ciekawie. Niestety, ani jednego, ani drugiego utworu nie mogliśmy dotąd zobaczyć na scenie. Wielka szkoda.

Co prawda, jeśli chodzi o „Świętego Franciszka", łatwiej przeboleć tę stratę. Nie jest to właściwie dramat. W świętym nie ma żadnych konfliktów. Poznajemy go już w tym momencie życia, gdy stanowi twardy monolit duchowy, opokę. Konflikt wykluwa się dopiero między nim a współczesnymi i jest dramatem współczesnych, a nie jego. Przesunięcie głównych akcentów dramatyzmu na złożony z wielu postaci zespół, a odsunięcie go od jednostki, która stanowi centralną postać sztuki, powoduje coś w rodzaju niefortunnej pomyłki adresowej lub wadliwego połączenia telefonicznego: rozmawiamy ze św. Franciszkiem, w nim szukamy dramatu, a dramat jest właśnie tam, gdzie nie ma świętego. To novum konstrukcyjne nie zyskuje widza dla sztuki, gubi go i dezorientuje, a tym samym gubi dramatyczne walory widowiska. Anons obwolutkowy określił je jako misterium. Jest to raczej udramatyzowana rozprawa o bardzo ciekawym typie świętości. I raczej o analizę zjawiska autorowi chodziło, niż o stworzenie scenicznego dramatu. Bo tylko wtedy wybaczyć mu można dłużyzny w perorach Piotra Bernardone, tylko wtedy jakoś się tłumaczy powtórzenie prawie identycznych sytuacyj między Franciszkiem a Piotrem i między Klarą a jej ojcem, tylko wtedy nie będą nas raziły naciągane i w hipokryzji przesadne złośliwostki braci po śmierci świętego.

Jeżeli łatwo pogodzić się z niemożnością ujrzenia jego losów na scenie, to tym trudniej odżałować „Sługi Don Kichota". Ta pięcioaktowa tragikomedia z prologiem i epilogiem jest świetnym osiągnięciem pisarskim Wojciecha Bąka. Kapitalny pomysł ożywienia dawnego utworu literackiego, niezwykle dowcipna technika przeprowadzenia tego pomysłu, lekkie, trafne w najbardziej nawet fragmentarycznych charakterystykach zindywidu alizowanie postaci, żywość i przejrzystość akcji, jej głęboko humanitarne przesłanki społeczne, umiejętne stonowanie elementu fikcji i rzeczywistości w epilogu — to walory tak wyraźnie domagające się rozpowszechnienia przez dziesiątki przedstawień teatralnych, że aż dziw bierze, iż dotychczas o sprawie premiery głucho. A kto wie jak wpłynęłoby to na dalszy rozwój twórczości autora tej udanej sztuki. Pierwsza próba sił wykazała wyraźny i zdecydowany nerw dramatyczny, umiejętność arcy-scenicznego wiązania i rozwijania akcji. To się widzi już przy czytaniu. Jeszcze trochę więcej zwartości w dialogach (trochę w nich pokutuje rozlewność liryka), jeszcze trochę mniej łatwości w rozwiązywaniu konfliktów w stylu happy-end'u (bo jednak w „Słudze" za gładko wszystko poszło), jeszcze trochę więcej uporu w zwalczaniu sympli fikatorstwa (bo kapinkę za szybko „nawrócił" się Proboszcz) a będziemy mogli mówić o wzorcu solidnej, dobrej, na wskroś współczesnej i nowej roboty scenopisarskiej. Podobno autor ma w tece kilka dalszych prac „dla teatru". Jeśli tak udane jak „Sługa Don Kichota" to cieszyć się tym wypada. I tym bardziej żałować, że dotąd nie ujrzeliśmy ich na scenie.

V

Ale debiut Bąka — nowelisty, Bąka prozaika nie dorównuje debiutowi dramaturga. Cechą charakterystyczną „Twarzy", powojennego tomu opowiadań, jest dysproporcja między wartością intencyj i pobudek autorskich a ich realizacją artystyczną. Intencja głęboka i szlachetna, realizacja płytka i tandetna. Miały być „Twarze" próbą chwytania człowieka na gorącym uczynku „wszystkich jego tęsknot, umiłowań, błędów i zalet, bólów i radości. Miały zaspakajać poznawczą pasję humanisty, które go interesuje cały świat, ale przede wszystkim — człowiek. Miały wyzwolić autora od nacisku wspomnień, od przeszłości, która wtłacza się w teraźniejszość galerią mniej lub więcej zblakłych obrazów. Takie intencje, jeśli nawet uwierzymy, że przeszłość naciskała obrazami, a nie problemami, i domagała się naszkicowania kilku twarzy, a nie rozwiązania kilku palących kwestyj, powinno dać w wyniku pod piórem opanowanego prozaika kilka dobrych sylwetek psychologicznych, ukazujących całe zespoły konfliktów wewnętrznych i konieczność ich rozwikłania. Sylwetki te wymagały subtelnego rysunku i... taktu, tzn. nie podchodzenia do nich z gotowym szablonem, nie podsuwania im gotowych rozwiązań, nie stawiania kawy na ławę. Bąk w swoich opowiadaniach nie spełnił tych postulatów. I ze swoimi sylwetkami i — co na jedno właściwie wychodzi — z czytelnikiem obszedł się trochę niedelikat nie. Ta niedelikatność pisarska polega i na wyborze tematyki, wykluczającej u Bąka wszelkie subtelniejsze problemy i na sposobie jej podania: łopatą do głowy. Zarzut ten nie jest paradoksalnym żądaniem niezrozumiałości. Jest tylko uprzejmym zwróceniem uwagi „na czytelnika", który chce mieć prawo czegoś się domyślać, który nie chce, aby mu wieczny pan Jachowicz tłumaczył, co, jak, skąd i dlaczego, co jest dobrze, co źle, co jest ładnie, co zaś brzydko. A Bąk w opowiadaniach jest właśnie niemal takim panem Jachowiczem. Stawia kawę na ławę, aż się w oczach czarno robi.

Opowiedział np. o „Matyldzie Puj-Puj". Jednych ta historia mniej wzruszy, drugich więcej. Ale autor chce, żeby wszystkich tak wzruszyła, jak jego. A jak jego wzruszyła to tłumaczy kończącym opowiadanie zdaniem: „Biedna Matylda!" Żeby nikt nie miał wątpliwości.

Opowiadanie o Sarze Friedländer kończy aforystycznym zdaniem o uczuciu. I dodaje: „A to jest najważniejsze". Dla pewności.

Opowiadanie o książeczce do nabożeństwa, w którym pokazuje, jak długo dzieci pamiętają doznaną krzywdę, kończy zdaniem: „Ostrożnie z dziećmi!".

Pan Jachowicz nie jest widocznie przypadkowym skojarzeniem. Opowiadanie o Janku Krzysiaku, nieszczęśliwym chłopcu, który mało zaznał dobra u ludzi, a zginął w powstaniu, kończy autor tak: „...i na wargi ciśnie mi się słowo: Męczennik. I wstyd mi jest, jakbym był jego katem. Wstyd za całe moje pokolenie".

Ten przykład wskazuje już drugą przykrą cechę prozy Bąka: skłonność do patosu. Żyjemy w dniach nieprzyjaznych tej formie wspominania rzeczy wielkich. Jesteśmy pokoleniem wrogim patosowi. Wszystko wskazuje na to, że wrogość ta będzie wzrastała. Stąd nauka młodszych pokoleń dla pokoleń starszych: mówcie o rzeczach wielkich albo wielkim milczeniem, albo wielkim słowem. Ale słowem małym, zużytym i banalnym nie mówcie. Bo mówicie na próżno. Gorzej: mówicie na swoją niekorzyć.

VI

Dlatego, aby nie pogarszać i tak kiepsko wyglądającej sprawy Bąka-prozaika, opuścimy te partie jego książki pt. „Zagadnienia i postacie", w których banalnym słowem stara się wypowiadać tak rozpaczliwie niebanalne sprawy, jak sprawa sierpnia warszawskiego, a zajmiemy się tylko tą częścią, w której przedstawia się nam Bąk-krytyk literacki.

I z tego pieca chleba próbował. Wydaje się, że byłoby nieuczciwością oceniać krytyczno-literackie wywody Bąka z punktu widzenia ich poprawności metodologicznej, sprawności narzędzi krytycznych, precyzji i trafności naukowej osądów. Artykuły w tej książce zebrane miały w swoim czasie (w okresie poznańskiego „Życia Literackiego") publicystyczną raczej rolę do spełnienia. Rolę tę na pewno spełniły. Pisane są żywo, jasno, a brak argumentacji zastępuje gorąca wiara autora w słuszność wysuwanych przez siebie tez. Tezy te (jak np. w wypadku spostponowanego Zoli) zadziwiają w równej mierze śmiałością, jak i bezpodstawnością. Wszystkie są jednak wyrazem tej pasji, która cechuje rasowych publicystów: pasji wyraźnego, jasnego wartościowania. Co najdziwniejsze jednak w książce Bąka, to chyba fakt, że budzi ona sympatię, jako typ laickiej wypowiedzi, z której — wbrew niedociągnięciom a nawet sprzecznościom metodologicznym — wybija się głos zdrowego rozsądku, wyraźna świadomość kierunku dążenia i celu, to czego czasami brakuje bardzo, bardzo — wybitnym krytykom.

Oceniając „Zagadnienia i postacie" jako pracę fachowego krytyka, musielibyśmy powątpiewać w słuszności i celowość stosowania metody „słowa honoru", w trafności peryfrastycznych definicji realizmu, w historyczną niepodważalność hierarchii wartości itd. itd. Ale nie robimy tego, bo Bąk, jako krytyk w omawianej książce nie istnieje. Istnieje natomiast i świetnie się wypowiada jedynie jako rasowy publicysta. A to różnica — chociaż przez wielu niedostrzegana — bardzo istotna.

VII

Jak podsumować te uwagi o osiągnięciach Wojciecha Bąka w zakresie poszczególnych gatunków literackich? Jak poetę, dramaturga, prozaika, publicystę zsumować w jednym pisarzu? Jak shierarchizować w nim układ pisarskich możliwości?

Częściowo uczynił to sam autor omawianych książek. Jego publicystyczne wystąpienie jest czymś przypadkowym i niejako marginalnym. Tom opowiadań także nie zdradza, ani doborem tematów, ani wartością formy zamierzeń śmielszych, czy możliwości szerszych.

Poezja i dramat stanowią dwie zasadnicze i jedynie istotne dziedziny działalności literackiej Bąka. W poezji dał najpełniejszy chyba na przestrzeni pięćdziesięciolecia (aby nie sięgać dalej) i najgłębszy wyraz liryki religijnej, chociaż głębi i ważkości przeżyć nie zawsze odpowiada ważkość osiągnięć artystycznych. Powolne rozluźnianie wewnętrznych rygorów poetyckich stanowi dla Bąka poważne niebezpieczeństwo. Drugie niebezpieczeństwo kryje się w wysokiej temperaturze emocjonalnej jego poezji, w temperaturze, w której za długo przebywać nie można, aby nie narazić się albo na zawrót głowy (czyt.: zatracenie niezbędnego w każdej sztuce pierwiastka obiektywizacji) albo na... przyzwyczajenie się do tropikalnego klimatu (czyt.: zbanalizowanie i tak już u niego samego powtarzających się motywów).

I jedno i drugie niebezpieczeństwo zmniejsza dramat. Rozluźnianiu się rygorów formalnych zapobiegają dosyć surowe wymagania jego struktury, a zbanalizowaniu i zbytniemu zemocjonalizowaniu treści stanie na drodze konieczność szukania coraz to nowych podmiotów mających działać w dramacie i niezbędne wzmocnienie stopnia obiektywizacji stosunku do projektowanego utworu dramatycznego.

Z tego wynikałoby proroctwo, że Wojciech Bąk...

Ale to już należy do proroków i do Wojciecha Bąka.

ZYGMUNT LICHNIAK

W FILMIE

których nie ma konieczności późniejszego nakładania głosu są produkowane przy użyciu tej metody. Pozwala to na większą swobodę ruchu — odpada konieczność wożenia na plener ciężkiej aparatury do nagrywania itp. Dla uniknięcia nienaturalnej martwoty dialogów nagrywanych w izolowanym studio, stosuje się specjalny podkład.

Specyficzne miejsce w organizacji wyobraźni widza zajmuje muzyka. Jeden ze zmarłych specjalistów muzyki filmowej Walter Leigh, mówiąc o niej wyraził się: „Jest to sztuczna organizacja dźwięku dla celów czysto emocjonalnych, przedstawienie ruchu fizycznego poprzez dźwięk i rytm". Pudowkin omawiając rolę jaką gra muzyka w „Dezerterze", pisze: „ Tak, jak obraz jest obiektywnym spostrzeżeniem zdarzeń, tak muzyka wyraża subiektywną cenę tej obiektywności". Jako przykład charakterystycznej oprawy muzycznej można przytoczyć (z widzianych u nas ostatnio filmów) ilustrację do „Aleksandra Newskiego", Eisensteina, czy Wellesa „Obywatel Kane" (zwłaszcza w początkowej scenie śmierci Kane'a, gdy muzyka współdziałając z obrazem stwarza atmosferę makabrycznej grozy).

W najwcześniejszych chwilach — w okresie filmu niemego — muzyka była jedynym i decydującym akompaniamentem dźwiękowym. Utrwaliły się w tym okresie pewne stereotypowe, zdawkowe ilustracje muzyczne. Cukierkowość melodii towarzyszących scenom miłosnym, „Lekka kawaleria", jako akompaniament galopu konia itp., czyli cały ten — jakby go można określić — „automatyzm" ilustracji muzycznej przetrwał w większości filmów do chwili obecnej. Istnieje tendencja, zwłaszcza w filmach amerykańskich, do umieszczania poprzez całą ich długość streotypowego podkładu muzycznego. W takim ujęciu muzyka nie wnosi nowych elementów, dubluje jedynie akcję, powoduje zatracenie świeżości recepcji, ciągły akompaniament (nieraz nawet utrudniający słuchanie dialogu), powoduje w końcu denerwujące znużenie — i nie osiąga niczego. Na marginesie warto zaznaczyć, że wśród powodzi dźwięków, panoszących się na naszych ekranach na ponowne odkrycie i uznanie jej wartości czeka cisza. Dla przykładu przypomnę tylko scenę ogonka po chleb z „Rodziny Froment". Film, o dobrej, spełniającej swoje zadanie oprawie muzycznej, wciąż jest klasyfikowany jako nowe osiągnięcie. Jej artystyczne ujęcie jeszcze nie jest regułą — znajdujemy się w okresie jej tworzenia, w okresie poszukiwania przez muzykę filmową własnych środków ekspresji.

Specyficzną trudnością i momentem, który ogranicza osobowość kompozytora, jest fakt, że muzyka filmowa musi być komponowana nie tylko zgodnie z treścią obrazu, ale również podporządkować się ma w czasie. Nagrywanie odbywa się w specjalnym studio, w którym dla synchronizacji przed oczami dyrygenta wyświetlany jest ilustrowany film. Często jeszcze dyrygent przez słuchawki również słucha dialogu. Po nagraniu dźwięku na osobnej taśmie przed dyrygentem i technikiem stoi zadanie podłożenia oprawy muzycznej teraz już na właściwą taśmę filmową.

Gdy się weźmie pod uwagę zakres pracy nagrywającego i fakt, że on nadaje muzyce ostateczną jej formę, jasnym jest, że musi on posiadać nie tylko wykształcenie techniczne, lecz i dużą wiedzę muzyczną. Musi on rozumieć muzykę, znać konstrukcję orkiestry, możliwości każdego instrumentu i jego właściwości. Od tych czynników zależne jest użycie odpowiedniego studia, mikrofonu (mikrofonów) uzyskanie właściwej barwy dźwięku itp. A teraz jeszcze trzeba pamiętać, że jest to tylko fragment jego pracy, że w jej zakres wchodzi również nagranie dialogu i efektów dźwiękowych i dalej, że nadając ostateczną formę dźwiękową filmowi musi on operując deską kontrolną i oddzielnymi nagraniami, działając już jako „mixer", umiejętnie połączyć elementy dźwiękowe, stonować ich siłę, (tak, żeby np. muzyka nie przygłuszała dialogu, a wzrastała na sile, gdy dialog znika), dać im „wejść" i „zejść" z filmu we właściwym momencie itp.

LESZCZ

ROK CHOPINOWSKI

Dla upamiętnienia i uczczenia przypadającej w roku 1949 setnej rocznicy śmierci naiwiększego kompozytora polskiego Fryderyka Chopina — Rada Ministrów w uchwale swej z dnia 20-go marca 1948 r. postanowiła zorganizować w 1949 r. „Rok Chopinowski", obejmujący cykl prac i imprez artystycznych oraz uroczystości.

W skład Komitetu Honorowego Roku Chopinowskiego weszli członkowie Rządu oraz zaproszeni przez Prezesa Rady Ministrów, który jest przewodniczącym Komitetu Honorowego, przedstawiciele sztuki, nauki i świata pracy.

Na czele Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego stoi Minister Kultury i Sztuki. Organem technicznym Komitetu Wykonawczego jest jego Biuro.

Rozpoczęcie Roku Chopinowskiego nastąpi w dniu 22-go lutego br. w 139-tą rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, w domu urodzenia, w Żelazowej Woli, skąd uroczystość będzie przeniesiona do Brochowa: w miejscowym kościele parafialnym brali ślub rodzice Chopina i tutaj też Fryderyk był chrzczony. Po części oficjalnej w dworku chopinowskim — parę utworów fortepianowych odegra Henryk Sztompka.

Tegoż dnia w sali Roma w Warszawie odbędzie się Koncert Inauguracyjny, w którym wezmą udział i odegrają koncerty Chopina z orkiestrą: Zbigniew Drzewiecki i Jan Ekier.

Następnego dnia nastąpi otwarcie cyklu pod nazwą „Żywe Wydanie Dzieł Fr. Chopina". Cykl obejmie 14 koncertów (wykonawcami będą najlepsi polscy chopiniści), na których wykonane zostaną wszystkie dzieła Chopina, również napisane z towarzyszeniem orkiestry, a także utwory wokalne, kameralne, na 2 fortepiany, młodzieńcze, odnalezione ostatnio.

Będzie to wspaniałą formą uczczenia Mistrza, który żyje wiecznie wśród nas w swej wielkiej sztuce muzycznej.

W tym wielkim cyklu koncertowym wezmą udział: H. Sztompka, J. Bereżyński, J. Smidowicz, P. Lewicki, J. Ekier, R. Smendzianka, W. Maciszewski, W. Kędra, T. Żmudziński, M. Trombini-Kazuro, E. Bandrowska - Turska, I. Dubiska, M. Wiłkomirska, K. Wiłkomirski, J. Hupertowa, W. Bregy, B. Woytowicz, Z. Szymonowicz, H. Czerny - Stefańska, B. Hesse-Bukowska, R. Pakst, J. Drath, L. Stefański, J. Ślendzińska, B. Muszyńska.

Wszystkie koncerty będą transmitowane przez radio za pośrednictwem wszystkich stacji krajowych i wielu — zagranicznych.

Innym cyklem będzie seria koncertów „historycznych", które odtworzą własne występy Chopina w miastach polskich i zagranicznych.

W dniach odpowiadających historycznym datom tych koncertów, możliwie w tych samych salach, z tym samym programem.

Pierwszy koncert z tego cyklu odtworzony zostanie dnia 24 lutego 1949 roku, dla upamiętnienia pierwszego publicznego występu ośmioletniego Chopina, który wziął udział w wieczorze instrumentalno-wokalnym na cel Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, wykonując w pałacu Radziwiłłowskim koncert Wojciecha Gyrowetza (kompozytora tego poznał Chopin w roku 1829 w czasie swego pobytu w Wiedniu). Za udział w tej dobroczynnej imprezie sam prezes Towarzystwa, Julian Ursyn Niemcewicz (mąż stanu, poeta, historyk i publicysta polski) złożył osobiste podziękowanie młodziutkiemu wirtuozowi.

Ferdynad Hoesick, autor największej biografii o Chopinie, taką opisuje legendę, związaną z powyższym koncertem małego Chopina: „Na parę godzin przed owym popisem, gdy małego koncertanta postawiono na krześle i zaczęto ubierać do godnego wystąpienia przed liczną i doborową publicznością, „nowy Mozart" szczególniej był zadowolony z pięknego i szerokiego kołnierzyka, który mu włożono na ciemny spencerek. Kiedy zaś po jego powrocie do domu, nie mogąca być na jego koncercie pani Chopinowa, wziąwszy jedynaka swego na kolana, wypytywała go, co też się najwięcej publiczności podobało, odpowiedział bez wahania, że jego kołnierzyk. „Wie mama, wszyscy na mój kołnierzyk patrzyli".

Związana z powyższym koncertem audycja słowno - muzyczna transmitowana będzie z auli Konserwatorium Warszawskiego.

Organizowana w Warszawie wielka wystawa chopinowska zostanie następnie przeniesiona do Paryża i Londynu. Eksponatów na nią dostarczy zarówno Polska, jak i Francja.

W dniu 3 b. m. udali się samolotem do Paryża z ramienia Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego prezes Związków Kompozytorów — Zygmunt Mycielski i mgr. Władysław Hordyński z Biblioteki Jagiellońskiej. Celem ich pobytu w stolicy Francji jest ostateczne uzgodnienie wykazów eksponatów, jakie znajdą miejsce na wspomnianej wystawie.

Obszerny plan wydawnictw chopinowskich, nakreślony przez Komitet Wykonawczy Roku Chopinowskiego, jest systematycznie realizowany. Szereg wydawnictw opuściło już pracę, inne ukażą się w najbliższym czasie, dalsze są w stadium ostatecznego wykańczania przez autorów lub wydawców.

Po ukazaniu się pierwszego zeszytu wydania zbiorowego dzieł Chopina pod redakcją Ignacego Paderewskiego — Preludiów, Kalendarza Roku Chopinowskiego, nowej książki o Chopinie, której autorem jest Jarosław Iwaszkiewicz — bardzo udanym wydawnictwem jest broszurka pt. „Fryderyk Chopin i Żelazowa Wola".

Jest ona przeznaczona głównie dla odwiedzających miejsce urodzenia Chopina.

Zawiera 16 doskonale wykonanych ilustracji, mapkę połączeń kolejowych i szosowych z Żelazową Wolą, przystępnie opracowane dane biograficzne.

ZADANIA ROKU CHOPINOWSKIEGO

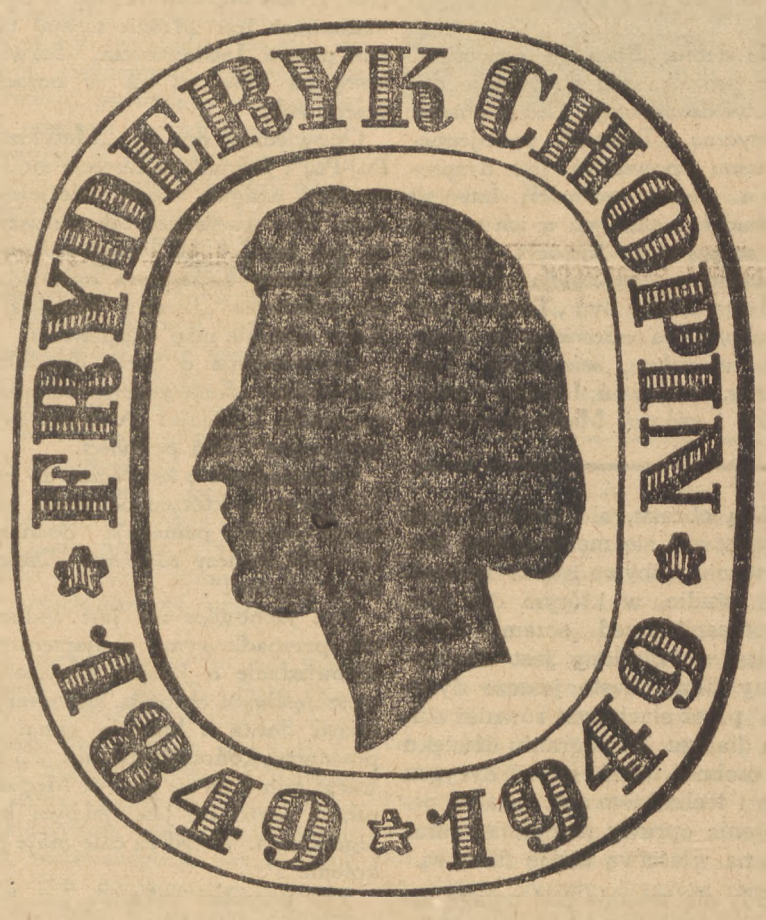

W pewnym nie bardzo małym i niezbyt podłym miasteczku polskim, zapowiedziano koncert muzyki Chopina. Na oznaczoną godzinę, w jakiejś tam sali zjawiło się dość liczne grono słuchaczy. Punktualnie, bo z pół godzinnym ledwie opóźnieniem, na estradzie ukazała się pianistka, którą powitano rzęsistymi brawami. Tylko jeden z obecnych nie wziął udziału w tym kredytowanym entuzjazmie i taką oto uwagę dał wyraz swoim zastrzeżeniom: „mówili Szopen... a tu kobita. Lipa!"

Są tacy, którzy autentyczność tego wydarzenia gotowi stwierdzić nawet własnymi podpisami. Bądźmy jednak ostrożni. Powiedzmy, że ktoś sobie historyjkę taką wymyślił by między znajomkami błysnąć dowcipem. Zgoda. Będziemy jednak nawet wówczas musieli stwierdzić nie bez melancholii: si non e vero...

Nie ma co ukrywać: podobne nieporozumienie zdarzyć się mogło w Polsce wszędzie, jak się to mówi przy innych okazjach: w Polsce jak długa i szeroka, od Bałtyku do karpat itd.

Czy warto mówić o tym w tak uroczystej chwili, w dniu inauguracji Roku Chopinowskiego? Oczywiście: tak! Nie tylko warto, ale trzeba i to głośno, poważnie... a nade wszystko bez jakiegoś fałszywego wstydu.

Piszący te słowa wstydził się niejednokrotnie za innych, kiedy na najciekawszych koncertach symfonicznych mógł doliczyć się ledwie dwu, trzech t zw. wielkich pisarzy. Dumałem sobie wówczas nad tym, że „bez muzyki... nie ma prawdziwej poezji lirycznej" (Mickiewicz), nie mogłem się nadziwić tej zadufanej w samym sobie obojętności i wiele, wiele różnych innych smutnych myśli mogło mi wówczas przychodzić do głowy.

Któż by jednak szczerze dziwił się temu, że w umyśle tamtego prostaczka takie powstało nieporozumienie. Wiemy zbyt dobrze jak to się stało, że prawdziwe wartości kulturalne nie były dla niego dostępne. Wiemy, że nikt się o to nie troszczył, że nikt się tym nie martwił, że — przeciwnie — usiłowano tworzyć na użytek milionów odbiorców namiastki o składzie wątpliwej wartości.

I dlatego właśnie o wydarzeniu podanym tutaj sine loco et anno trzeba mówić właśnie dziś. Trzeba szczerze skwitować dotychczasowe zaniedbania i trzeba z opowiedzianej historyjki wysnuć podstawowe założenia dla zaczynającego się Roku Chopinowskiego.

Jaki jest cel tej poważnej, starannie przygotowanej imprezy? Czy w założeniu jej tkwi tylko chęć zaspokojenia bardzo polskich umiłowań dla jubileuszy? Wolno nam wierzyć, że nie. Rok Chopinowski ma zaszczepić kult dla muzyki Chopina na całej ziemi polskiej, w każdym sercu polskim.

Tak się złożyło, że uroczystości chopinowskie zbiegają się z obchodami mickiewiczowskimi. Jeśli rok 1949 da w rezultacie choć częściowe spełnienie się marzeń twórcy „Pana Tadeusza". Jeśli (przy bardzo sumiennym rozrachunku) okaże się, iż istotne warunki Chopina i serdeczne strofy Mickiewicza trafią pod strzechy — wówczas będziemy mogli z dumą mówić, iż sprawa upowszechnienia kultury posunęła się naprzód.

* * *

Każdy z nas, nawet ten, który słuchanie koncertów czy recitali uważa za stratę cennego czasu, przyciśnięty do muru, albo, lepiej jeszcze, sprowokowany obietnicą wysokiego honorarium, potrafiłby sklecić względnie poprawną, nawet wolną od merytorycznych błędów rozprawkę na temat: o pierwiastku ludowym.

Cytat z Norwida, fragment z Paderewskiego, po kilka zdań z Hoesicka, z Binentala, z Opieńskiego z Nowaczyńskiego, wreszcie, jeden czy dwa wyjątki z listów Chopina, no i oczywiście: tęskne piosenki pastusze, muzyka wiejskiego, grajka w karczmie, jakiś Żyd - skrzypek — wszystkie elementy gotowe: zręcznie je wymieszać, zaprawić sosem patosu i koniec roboty. Autor nie potrzebuje nawet trudzić się wysłuchaniem jakiegoś mazurka.

I na temat tej ludowości poleje się w tych dniach wiele atramentu. Zresztą zupełnie słusznie. Bardzo potrzebnie. Celowo. Cały ten trud mówców czy pisarzy nie spełni swego zadania, jeśli nie potrafimy z tych rozważań upoetycznionych, czy tych bardzo trzeźwych, fachowych, opartych na analizie, na porównaniach, wysnuć najważniejszego wniosku: skoro muzyka Chopina, w swej olbrzymiej części wywodzi się z ludu, to jej pierwszym właścicielem, pierwszym użytkownikiem winien być lud.

Muzykę Chopina trzeba nam zatem zdjąć z wysokiej półki, na której postawiła ją ręka snoba, lub zarozumiałego estety i postawić na ziemi. Po prostu na ziemi. I to będzie najgodniejsze dla niej miejsce, najwyższy awans.

* * *

Ukuć slogan jest łatwo — wprowadzić go w życie znacznie trudniej. Bo i jakżeż dojść do tego by lud stał się użytkownikiem muzyki Chopina.

Wydaje mi się, że to nie jest znowu takie niemożliwe.

Umiłowanie muzyki jest związane z psychiką ludową.

Przecież to właśnie u nas, na naszej wsi, każde ważniejsze wydarzenie, a nawet wiele z codziennych zwykłych czynności tradycją wiąże się z pieśnią, z melodią. Różnorodność tematyczna i strukturalna tych melodii ma olbrzymią skalę.

Lubimy śpiewać, tańczyć.

Grunt podatny. Trzeba go tylko umiejętnie obsiać. Zagadnienie znowu powraca: jak to zrobić. Nie naszą jest rzeczą dawać tu recepty — wydaje mi się jednak, że stwierdzenie wielkiej podatności gruntu, ma też swoje poważne znaczenie.

Jeszcze raz o wspomnianym na wstępie nieporozumieniu. Ów niezadowolony słuchacz wymyślał, że grać będzie Chopin. Popełnił błąd straszny. Ale... i on, chociaż nie wie o tym, iż Chopin umarł przed stu laty, choć (to wynika automatycznie jedno z drugiego) nie zna muzyki Chopina, przyszedł jej posłuchać. Przypędziło go tu wrodzone umiłowanie do muzyki w ogóle. Ten wniosek jest ważny.

* * *

Z okazji „Roku Szopenowskiego" mówić się będzie dość dużo oklepanych i nieprawdziwych frazesów. Na przykład ten: kto choć raz usłyszy, ten... itd

Otóż tak wcale nie jest. W muzyce Chopina chyba nikt jeszcze nie zakochał się od pierwszego wejrzenia. Przeciwnie — toruje ona sobie drogę do serca dość wolno, z trudem. Za to kiedy tam już wejdzie, niczym nie da się zastąpić. Idzie jednak oto utorowanie drogi.

Pierwsze zetknięcie się z utworami Chopina wywołuje jakiś niepokój, a człowiek, na ogół unika tego co go niepokoi.

Zdawałoby się... dajmy komuś na początek jeden z mazurków, oparty na popularnej, wszędzie znanej melodii ludowej.

— Nie, to nie tak — powie słuchacz — u nas to grają inaczej.

A innej drogi nie ma. Trzeba zacząć od jakiegoś pierwszego stopnia łatwości (jeśli takie skalowanie da się właśnie w muzyce Chopina zastosować).

Te pierwsze spotkanie z utworami Chopina trzeba czymś podbudować. Czym? Wiedzą o muzyce, wiedzą o Chopinie.

Bo ilu z nas, inteligentów, orientuje się w różnicy, jaka zachodzi między muzyką ludową, a muzyką pseudoludową? Między muzyką Chopina powstającą z prostego, ludowego tworzywa, a tą która komponuje oberki i kujawiaki, zachowując ich łatwy do uchwycenia rytm, a gubiąc w czasie twórczości" ducha tych tańców.

Wszakże jeszcze do niedawna istniał u nas twór arcy-dziwny: Oddział wiejski ZZLP składający się w większości z mieszczuchów warzących strawę dla wsi. Nie według jej potrzeb — według własnego „widzimisię".

* * *

„Rok Chopinowski" ma przed sobą trudne zadanie. Wiadomo, że go nie wypełni w całości — na to trzeba czasu znacznie więcej — ale jeśli wprowadzi nas na właściwą drogę, to i tak dokona wiele.

Jerzy Artemski

Brak przemyślenia

(Dokończenie ze str. 5-tej)

(Dokończenie ze str. 5-tej)

na rozwój idei", jest ostrożnym sformułowaniem pewnika, i dogmatu, że społeczeństwo tworzy moralność. Przemożny bowiem znaczy tyle, co główny, a to znów znaczy tyle, co decydujący. Taki pewnik wolno mu przyjąć i budować na nim swoje systemy, ale nie wolno nim zwalczać żadnego innego systemu. Oczywiście, nie wolno tylko w znaczeniu logicznym. Należy rozumieć naturę dogmatu, czyli, po polsku, pewnika. Jest to twierdzenie, przyjęte za prawdziwe bez dowodzenia. Pan prof. Krzyżanowski przyjmuje pewnik nadludzkiego pochodzenia moralności. Przyjmuje on za pewniki prawdy, objawione przez Boga, a ogłoszone ludziom przez ludzi wybranych i przez Syna Bożego. Że dogmaty systemów Szczepańskiego i Krzyżanowskiego są odmienne, jest to rzecz naturalna. Człowiek logiczny nie dziwi się temu, ani, tym bardziej, nie lekceważy, nie wyśmiewa dogmatów przeciwnika, bo to nie są argumenty. Dowodzi tylko ich braków metodą wyżej omówioną. Podstawianie jednak swoich pewników do systemu przeciwnika, żeby ten system obalić, jest logicznym przestępstwem.

System katolicki jest logicznie zwarty i harmonijny i wszystko na świecie tłumaczy wystarczająco. Sprawdza się w oczywistości. Ale należy przyjąć wszystkie jego pewniki, czyli dogmaty. Kto odrzuca choćby jeden, już nie jest katolikiem, po pierwsze, a po drugie traci zupełność swego poglądu na świat, staje się nielogiczny, bo jego system wówczas nie tłumaczy wszystkiego i jest w sobie sprzeczny.

Pan Szczepański nie wie o tym i próbuje wykazać sprzeczności tego systemu z oczywistością. W tym celu bardzo logicznie i słusznie rozróżnia moralność idealną od rzeczywistej. „...rzecz jasna, ważna i społecznie doniosła jest tylko moralność rzeczywista. Najwznioślejsze przykazania moralne pozbawione są ważności społecznej i nie wywierają wpływu, jeśli nikt ich nie przestrzega". To jest pewnik, który wszyscy chyba przyjmą. Najważniejszym teraz pytaniem jest, czy system chrześcijański wywierał wpływ.

Pan Szczepański nie zdaje sobie sprawy z beznadziejności swego zamierzenia. System katolicki i z tej strony jest tak obwarowany, że nic mu zarzucić nie można. Przyjmijmy bowiem, że chrześcijaństwo nie wywarło żadnego zgoła wpływu społecznego. Czy świadczy to o jego nieprzydatności? W najmniejszym stopniu. Bo system katolicki przyjmuje pewnik, dla niego oczywisty, wolnej woli człowieka. Może pan Szczepański odrzucić żniwiarkę, a używać sierpa. Podobne fakty często notowano. Czy świadczą one o nieprzydatności żniwiarki? Nigdy w świecie. Choćby więc rzeczywiście chrześcijaństwo nie wywarło żadnego absolutnie wpływu społecznego, co, w idealnym wypadku mogło mieć miejsce, to i to jeszcze by nie świadczyło o nieważności tego systemu. Pan Szczepański jednak aż tyle nie twierdzi. Mówi on o Kościele w czasach rzymskich, w czasach średniowiecznych, a więc przyznaje systemowi katolickiemu wpływ społeczny i to niekiedy nawet decydujący. Zarzuca mu tylko, że nie był stosowany w całej czystości i logice. Ponieważ jednak dogmat o wolnej woli i grzechu pierworodnym tłumaczy to wystarczająco (człowiek nie przyjmuje je wcale, albo tylko częściowo nakazy moralne), więc i tu pan Szczepański niczego nie dowiódł, a raczej tylko potwierdził. Pamiętajmy bowiem, że, z punktu widzenia logiki, musi on, albo zamiast niego, my, na podstawie jego rozumowań, stać wciąż na stanowisku dogmatów systemu krytykowanego i nawet rozumieć je tak jak je ten system rozumie.

Dla wyjaśnienia należy tu jeszcze dodać, że społeczeństwo, według tłumaczenia katolickiego, składa się z jednostek, więc jego moralność jest również wypadkową moralności indywidualnych. Stąd nie jest żadnym argumentem zarzut p. Szczepańskiego, że „moralność autora (prof. Krzyżanowskiego) nigdy nie była moralnością rzeczywistą, to zn, że nigdy nie istniało społeczeństwo, w którym postępowaniami ludzi kierowałyby wyłącznie nakazy moralności katolickiej". W tym arcyciekawym twierdzeniu mamy wszystkie logiczne błędy twierdzącego. I podstawianie własnego pojęcia społeczeństwa w miejsce pojęcia przeciwnika i zapoznawanie jego dogmatu wolnej woli i w końcu zapoznawanie faktów historycznych. Z punktu widzenia logiki (a tylko on jest ważny), gdyby tylko jedna ludzka osoba stosowała praktycznie ten system, to już byłby on nie tylko logiczny, ale i praktycznie sprawdzalny. Osób takich były miliardy w ciągu dwóch tysięcy lat. Samych męczenników jest w Kościele 20 milionów. Świętych, o których władze Kościoła orzekają, czy stosowali idealne zasady katolickie, jest nieprzejrzana mnogość. To wystarcza logikowi. A że społeczeństwa nie stosowały czystej moralności katolickiej, to już tylko kwestia wolnej woli. Nie wszyscy w społeczeństwach byli świętymi. To i wszystko. Ale to wszystko nie świadczy przeciw, ale za moralnością katolicką.

Myli się też pan Szczepański, (bo pewnie o tym nie wie), twierdząc, że nie było społeczeństwa, które by stosowało moralność katolicką. Sam przyznaje przecież, że „Kościół w pierwszych wiekach swojej historii głosił przykazania równości, wolności, ubóstwa itp.". Nie mówi wprawdzie, że je i stosował. Gdyby jednak przeczytał Akty Apostolskie, to by znalazł tam opis społeczeństwa, którego istnieniu tak lekkomyślnie przeczy. I to idealnie katolickie życie społeczne, bynajmniej nie zaginęło, ale trwało i przetrwało dotąd. I dziś mamy na świecie przeszło milion jednostek, które tworzą zespoły społeczne, żyjące idealnie według wskazówek Ewangelii. Dlaczego zakon katolicki ma nie być uznany za społeczeństwo? Nie widzę logicznego powodu. A jest na świecie przeszło milion zakonników i zakonnic. Że nie wszyscy tak żyją, jak oni, tłumaczy to znowu dogmat wolności woli. Dogmatowi temu nie przeczy przyznanie przez katolika dużego wpływu społeczeństwa i warunków na jednostkę, jak to autor wytyka profesorowi. Bo wolna wola, której istotą jest wybór swobodny, musi mieć przecież w czym wybierać. Wpływy, kierunki, instytucje, wszystko, co się spotyka w społeczeństwie, jest właśnie przedmiotem wyboru wolnej woli. I w tym tylko znaczeniu można mówić o wpływie społeczeństwa. Nigdy jednak nie jest on decydujący. Przyznaje to praktycznie i marksizm, bo stosuje kary za przestępstwa. Po co więc przeczyć temu w teorii?

Miałbym ochotę zbadać sumiennie dogmaty pana Szczepańskiego w ich konsekwencjach logicznych. Czuję się jednak zobowiązanym badać do końca jego logiczne niekonsekwencje. Przy końcu jego artykułu mnożą się one zastraszająco. „Nie widzę, w jaki sposób odpadła sprzeczność" między nauką i religią. Nie widzi też pan Szczepański, w jaki logiczny sposób mogła ta sprzeczność w ogóle zajść, ale tego już nie wyznaje. Czy może istnieć sprzeczność między astronomią i gastronomią? Czy kucharz na podstawie swoich umiejętności może wykazywać sprzeczności w twierdzeniach astronoma? Nauki, w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie ma. Są tylko poszczególne dyscypliny naukowe, z których każda posługuje się podstawowym i sobie tylko właściwym układem jednostek. Nie można, z punktu widzenia logiki, mieszać tych układów. Np. nie można pokrewieństwa chemicznego badać centymetrem, gramem i sekundą, bo z natury służą one tylko do badania wymiaru, masy i następstwa. Nie można więc mieszać nauk między sobą, a cóż dopiero nauki z religią. Nauka oczywiście nic o religii powiedzieć nie może. Nie może dowieść nieśmiertelności duszy, ale też nie może dowieść jej śmiertelności. Nie może określić Boga, ale też nie może dowieść Jego nieistnienia. Może ona tylko ukazać z różnych stron dzieła rąk Jego i Jego inteligencji. Z logicznego i humanistycznego punktu widzenia, nauka jest bardzo wąską i ciasną dyscypliną. Z obu też punktów współczuję ludziom, którzy się ograniczają do wyznawania tzw. „światopoglądu naukowego".

Jeszcze ciekawsze okazy logiki daje nam pan Szczepański dalej: „Sądzimy, że wszelka wiara religijna ma swoje źródło w niemożliwości racjonalnego tłumaczenia zjawisk. Nie widzimy więc potrzeby tłumaczeń religijnych tam, gdzie istnieje wytłumaczenie racjonalne. Wiarę najlepiej charakteryzuje powiedzenie, przypisywane Tertulianowi: credo quia absurdum.

A więc pan Szczepański znalazł „racjonalne tłumaczenie zjawisk"? Czemuż go nie podał? Jest bowiem rzecz niesłychana w historii ludzkości. Oto, jak o tym mówił Newton: „**Ja znam prawa**, przyciągania, ale, jeśli mnie spytacie, czym **jest przyciąganie**, nie będę umiał odpowiedzieć". Spencer, twórca socjologii, wyznawanej przez p. Szczepańskiego, tak pisał w swej autobiografii: „Poza tymi tajemnicami leży tajemnica, obejmująca wszystkie — **skąd ta** powszechna przemiana, która miała miejsce nieustannie przez wieczność minioną i nieustannie będzie trwać przez wieczność przyszłą? „Słynny lord Kelvin powiedział: „Jedno słowo najlepiej charakteryzuje usilne wysiłki, jakie cierpliwie podejmowałem przez pięćdziesiąt pięć lat dla postępu nauki. Tym słowem jest— **niepowodzenie (failure)**". Przemilczę opinie Darwina i innych, uczciwych uczonych. Najwięksi uczeni widzieli tylko tajemnice i żadnego wyjaśnienia, co najwyżej opis przebiegu zjawisk, czym i socjologia może się, co najwyżej, poszczycić. A pan Szczepański znalazł „racjonalne tłumaczenie", a więc rozumie wszystko bez religii?! Oczywiście można mu tylko zazdrościć i błagać, żeby się nim z nami podzielił. Ale należy ściśle rozumieć to racjonalne tłumaczenie.

Co do łacińskiej cytaty, to nie wierzę w jej autorstwo Tertuliana. To był zbyt dobry logik. Zdanie to po polsku znaczy: wierzę dlatego, że to niedorzeczność. Czy pan Szczepański rozumie, co znaczy niedorzeczność? Jest to sprzeczność wewnętrzna, sama w sobie. Skąd więc widzi ją w systemie katolickim, skoro go przed tym uznał za „harmonijny, logicznie zwarty i samodzielny"? Nikt dotąd nie wykazał, że jest przeciwnie, choć było wiele takich prób. Niedorzecznością byłoby np., gdyby ktoś sądził, że pan Szczepański jest panem Królem, bo takie twierdzenie byłoby sprzeczne z prawem tożsamości. Fizyka zna taką pozorną niedorzeczność, której jednak odpowiadają fakty, a jest nią falowe i kwantowe tłumaczenie przebiegu światła. Żadnego jednak z tych tłumaczeń odrzucać nie wolno, bo fakty stoją za oboma. W nauczaniu jednak katolickim nie ma nawet pozornych sprzeczności. Są tylko fakty, których pan Szczepański uznać nie chce, czy nie może zrozumieć. Taka postawa świadczy chlubnie o wolnej woli, ale nigdy o absurdalności religii. Nie fakty i nauka Kościoła są winne, ale wola. p. Szczepańskiego. Ja jednak nie uważam ją za absurdalną. Jest to zarzut bardzo ciężki. Lekkomyślnie rzucać go nie wolno.

Jednak logice wewnętrznej jego systemu postawię ten zarzut. Jego system przyjmuje za dogmat, że społeczeństwo wytwarza moralność i jest pod tym względem samowystarczalne. Jest to teoria perpetuum mobile. Wygląda to tak, - że zegar dzięki swojemu ruchowi sam się wciąż nakręca, że samoistnie wytwarza on swój ruch. Jest to logicznie dość powszechny błąd circulum vitiosum. Bierze się tu, pod uwagę tylko warunki materialne, już istniejące i zakłada się, że albo istniały one wiecznie, albo samorodnie powstały z niczego. Wszystkie inne czynniki się wyklucza. Przy bliższym zbadaniu okazałby się, że ta teoria, jest nie tylko bardziej cudowna i tajemnicza od religijnej, ale i naprawdę niedorzeczna logicznie. Nie mam jednak miejsca na bliższe omawianie jego systemu. Ograniczę się tylko do obrony.

Zakończenie artykułu Szczepańskiego budzi największe zastrzeżenia. Oto bowiem mówi on, że to, co pisze profesor „jest poglądem na moralność wyznawanym przez stosunkowo nieliczną grupę intelektualistów katolickich, którzy stwarzają syntezę wzniosłych przykazań chrześcijańskich ze zdobyczami liberalizmu". Przecieram oczy. Jakto? Liberalizm więc istniał przed chrześcijaństwem, czy niezależnie od niego? Może w Chinach starożytnych, albo w Egipcie? Może współcześnie w Australii? Tylko w takim wypadku byłaby możliwa jego synteza z chrześcijaństwem. Tymczasem liberalizm jest herezją chrześcijańską, pozostałością po nim, gdy pewne warstwy odrzuciły inne pewniki, niewygodne, a zostawiły sobie z niego tylko to, co było w danej chwili wygodne.

Na początku powiedziałem, że w artykule p. Szczepańskiego znalazłem wiele rzeczywistych wartości. Wartości te widzę w dalszym ciągu. Jednakże są one źle użyte. Niniejsza krytyka jego artykułu dostatecznie to wykazała. Można z niej wnosić albo o złej woli, albo o nieświadomości i braku przemyślenia posiadanych wiadomości. Najcięższym zarzutem byłaby zła wola, bo inaczej nazywa się ona nieuczciwością. Nieświadomość nie jest grzechem. Największą jednak wadą artykułu są braki logicznego myślenia i stosowania praw logiki. Dzięki nim to artykuł jest niejasny i pomieszany. Toteż rozstrzygam pytanie, umieszczone w tytule, na rzecz braku przemyślenia. Mam jednak nadzieję, że z mojej krytyki pan Szczepański skorzysta i że za przyszłym razem nie pójdzie mi z nim tak łatwo.

Z. Jakimiak

OD REDAKCJI

Według naszych informacji zostało rozpoczęte tłumaczenie powieści Evelyn Waugh p. t. Bridshead Revisted".

Uprzejmie prosimy P. T. Tłumacza o zgłoszenie się do naszej Redakcji listownie lub osobiście.

Czytelnik uważa że...

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Uwagi K. W. Z. w „Arkonie" o literatach, bez należytej kompetencji popisujących się znawstwem literatur im obcych i podejmujących się przekładów dzieł z mało znanych im języków, nie pozostały bez echa. Ma się rozumieć, nie byłoby zdrowo wywlekać merytorycznie tę sprawę na światło dzienne z błogosławionego półmroku, w jakim ją K. W. Z. pozostawił.

O niej więc wcale nie mówi pismo, w którym wspomniani literaci są potentami; ale żeby obowiązku obrony dopełnić, odpowiada kontratakiem. Platforma, z której kontratak uderza, nie dowodzi szczególnej inwencji; że „starszy pan", więc nie rozumie współczesności, którą jak „statystyki mówią", „cechuje nader ożywiona działalność w zakresie twórczości oryginalnej i krytycznej oraz w zakresie przekładów". Należałoby zilustrować przykładami, w porządku tej oryginalnej systematyki literackiej osiągnięcia współczesności. Ponieważ jednak, choćby w ostatnim punkcie, nawet jeśliby się miało unikać tekstów wzwyż napomkniętych pisarzy, moglibyśmy natrafić na ustęp z „Wojny i pokoju" p. t. „Bitwa pod Austerlitz", a mówiącym o bitwie pod Schoengraben, gdzie działają ermaty, „zdjęte z podwozi", więc też przykładów się nie przytacza. Po prostu metodą „kompromitacjonizmu (jak mawiał tak dobrze przez nich wspominany Irzykowski), w jej znacznym uproszczeniu (co jest tak, jak gdy się zwraca uwagę pchającemu się bez kolejki, a on odpowiada: „ale co pan ma takie długie wąsy, panie szanowny"), uderza się w osobę, działa się ośmieszeniem, rysuneczkiem, przedstawiającym coś w rodzaju laurki, czy klepsydry; podaje się charakterystykę pisarza, o której zainteresowany nie może sądzić, jak trafną jest karykatura. Wreszcie przytacza się dwa wyrwane z kontekstu zdania na dowód, że K. W. Z. „bredzi". Cytaty jednak są już za długie dla celów ośmieszenia i w oczach tego, kto umie pojąć ich sens, ośmieszają nie tyle autora, co autora notatki. Myśl tego cytatu jest jasna; jeżeliby zaś chodziło o sprawdzenie, czy słuszna, czy istotnie moda danej chwili nie jest mocniejszą nad wszystkie inne więzi, to można by wziąć za przykład tę właśnie grupę pisarzy, do której zwracał swe uwagi K. W. Z: nie trudno byłoby wykazać, że ostatni, czy wczorajszy model snobizmu paryskiego, nastroje dogniwającej na Zachodzie klasy dominują w ich artystycznych i literackich upodobaniach nad całkowicie odmienną koncepcją sztuki, do której przyznają się zewnętrznie ze względów ideologicznych. Ich niedomyślenie i aprobata, udzielana ich łatwopisarstwu, przez otoczenie, są niepokojącymi znamionami czasu i poziomu naszej kultury. Bo i to trzeba powiedzieć: nie tylko starych ludzi przywarą jest ględzenie o „dawnych dobrych czasach", są i pewne łatwo i obiektywnie dające się wykazać przyczyny upadku poziomu umysłowego pokolenia, pisarzy, wzrosłego między dwiema wojnami, i społeczeństwa, do którego przemawiają. Nie ich zresztą wina, że świat po dwóch największych katastrofach w dziejach globu ziemskiego, największych barbarzyństwach i największych zniszczeniach, przedstawia także pod względem duchowym ruinę, którą należy odbudowywać upartym wysiłkiem, licząc się przecie z niedającymi się obalić więc pozostającymi u podstaw planowania, wartościami kultury z przed katastrofy. Tymczasowe baraki nie zastąpią godnych zrekonstruowania gmachów i nie powinny sobie ich znaczenia przypisywać; raczej powinny spoglądać z poszanowaniem na ich resztki.

Jeśli chodzi o dziedzinę historii literatury, którą zaczepia „f. d." („fantazyjny defensor"?), w ostatnim ustępie swojej notatki, to już chyba najmniej trafnie zaliczony został K. W. Z. do wątkarzy, ile że „wątkami tematycznymi" w żadnej z opublikowanych prac nigdy się nie zajmował. Niezrozumiałe jest też wytknięcie mu „gnuśnych (w jakim to może być polskim sensie słowa? Najlepiej jeszcze rozumiałoby się jako rosyjskie „gnusznych", bo wyrażałoby obrzydzenie „f. d." do rzeczy zbyt dla niego uczonych) kanonów filologicznych". Niestety, wiedza, systematyczność naukowa, precyzja filologów były tylko marzeniem, którego K. W. Z. nigdy nie ziścił. Ale nie dlatego, że miał dla nich pogardę ignoranta.

F (ilolog) D (omniemany)

Krotochwila niewłaściwa

Dziadek miał skrzydełka i katarynkę konną —
Zarobkował — rozwożąc marynowane kilometry.
Babcia miała sukienkę z kretonu przestronną
I nocami na szczudłach haftowała swetry.

W niedzielę, kiedy dzwony płynęły pod wiatr
Babcia szykowała bułki i kakao
A Dziadek odświętnie ubrany we frak
Mówił: no, no, no!

Po śniadaniu w kucki ruszali do kościołka —
Ale wiecie: podagra, apokalipsa i apopleksja —
Dziadek o kulach, Babcia o kulach:
Podróż im jakoś nie szła.

Wracali zawsze z połowy drogi do domu
(Drugą połowę chowali oszczędnie na zimę)
I raz — wyobraźcie sobie, lub komu —
Dziaduś spotkał ... dziewczynę!

Usta miała czerwone, ramiona pozłacane słońcem
Włosy — to był po prostu wiatr, który zastygł nad głową —
Oczy jak Afryka: rozpalone, pustynne, gorące
I biodra kołyszące się miękko i miarowo ...

Ach! Niebo — głaz błękitny — runęło pod nogi
I słońce — granat ręczny — rozprysło się w tęczę —
A skrzydełka — dwa żagle — chwytając wiatr błogi,
Niosły Dziadka jak charty po tropach dziewczęcych.

Gnał! To nie był marsz, ani bieg, ani chód,
Jeno taniec kwitnących siedemnastu lat,
Jeno refleks płynący po powierzchni wód —
Po prostu mówiąc coś spoza i znad!

Gnał Dziadek za dziewczyną — już w piersiach brak tchu!
Kilometry suszone precz rzucał za siebie —
A konna katarynka melodia ze snu
Snuła po - zie - mi, po - wo - dzie — po - nie - bie —
Dziadek — Babka: odległość = Ameryka — Gdynia,
Pomnożona o burzę, mg'y, nudę i mroki —
A odległość Dziadek — dziewczyna
O pięć —
o cztery —
o trzy —
dwa kroki!

O serce, co za prętami żeber drży jak ptak,
O oddech, który muska, o zachwyt miłosny
I o ... — niestety — siedemdziesiąt lat!
I o ... — niestety — siwiuteńkie włosy!

Dziewczyna przystanęła: czarnych oczu salwa!
Raniony rozkrzyżował trzepocące ręce —
A dziewczyna mu padła w ramiona jak malwa ...
— Przytul mnie jeszcze mocniej! Całuj jeszcze więcej!

Toż - to dzień biały, toż miasteczko!
... Dzwony płyną pod wiatr
I witają piosenkę tańczącą nad rzeczką:
„Wyrósł w polu biały kwiat ...“

Sen — nie sen? Bajka skroplona? Wspomnienia?
(Włosy, to ... pewnie wiatr, który zastygł nad głową ...)
Gorączka tropikalna z afrykańskiego wejrzenia?
Świat od początku? Świat na nowo?

Nie, nie sen: jawa, dzień, wyspy hawajskie!
Wzajemna wymiana pocałunków słodkich,
Wyznania, zapewnienia, perspektywy rajskie,
Że trudno by je zamknąć w rymowane zwrotki ...

Spod gruzów pięćdziesięciu lat
Młodość melodią wygrzebana —
„Wyrósł w polu biały kwiat ...“
Oj, grała katarynka, grała!

I wreszcie mu dziewczyna wyznała z lzą w oczach:
„Twoja jestem, jedyna od początku świata —
Mam sukienkę z ciemnego kretonu. Po nocach
Robię swetry szczudłami, haftuję i łatam.

Od wielu lat chowałam oszczędnie, pod skrzynię.
Pół drogi do kościoła na zapas, na potem,
Aż przemogły wspomnienia o młodej dziewczynie
W tę niedzielę, drgającą zielenią i złotem —

I sięgnęłam do schowka. A ręka mi drżała,
Gdy drogę niespełnioną i drzemiący czas
Tu, na piersiach, pod bluzką zazdrośnie chowałam,
By młodość swoją przeżyć jeszcze jeden raz.

Dalej wiesz już: mieliśmy za sobą pół drogi —
Tyś zawrócił — a we mnie jakby zakwitł kwiat!
Młodość świeża trysnęła, poniosły mnie nogi
W kilometry, zbierane przez pięćdziesiąt lat ...“

— — — — — — — — — —

Dwa i dwa — to cztery, pięć i pięć — dwanaście —
Biegły godziny mnożone przez kilometry
A z każdym iloczynem młodość Babki gaśnie —
Dziadka ciągnie katarynka — a Babunię swetry.

Zapomnieli o pocałunkach, wyznaniach, uściskach,
(Wieczór brudne kulasy maczał w szarym stawie)
Trudny powrót do domu — i droga nie bliska —
Nogi grzęzną im w piachu i plączą się w trawie.

Byli zaledwie na połowie drogi,
Kiedy spadł im na głowy srebrny, nocny ptak —
I — ze starości, zmęczenia i trwogi
Dziadunia i Babunię ... jasny trafił szlag!

Dalsze zadanie mieli ułatwione,
Bo — jak wiecie — Dziaduś skrzydła miał,
Babcia (na wstępie wszakoż zaznaczone)
Szczudła, po których mogła piąć się w dal.

Przedzierzgnięto się w amorki — oczywiście dwa:
Jeden o szczudłach, drugi miał skrzydełka —
Kierunek: niebo — no i voila!
Dwie dziurki w nosie i skończona bajka.

— — — — — — — — — —

Chociaż ... bo ja wiem? Bo jednak ... miała i usta czerwone
I włosy — po prostu wiatr, który zastygł nad głową ...
I oczy sycące i nienasycone ...
I biodra ... i ramiona słońcem wyzłocone ...

No i ... dzia ... dziadek zawrócił z połowy drogi do nieba!
Może dlatego — a może z durnej przywyczki —
Wobec czego odwołać mi trzeba
Jedną z dziurek w nosie.
Entliczki ... pętliczki .....

M. J. Kononowicz

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-66696